

KAMENNA

CZYTELNI
BIBLIOTEK
D.M.C.S.

LUBLIN

31.XII.1962

Nr 24 (262)

ROK XXIX

CENA 2 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

LUBLIN - BIAŁYSTOK - KIELCE - RZESZÓW

O SEJMIKU KULTURALNYM LUBLINA

dialog pesymisty i optymisty

JERZY DOSTATNI

Optymista — Udał nam się ten sejmik kulturalny Lublina. Ponarzekaliśmy sobie trochę, po-postulowaliśmy, po-żądaliśmy, po-proponowaliśmy — no, ale w końcu mamy jakiś program.

Pesymista — „Sejmik” to rzeczywiście brzmi dumnie. Ale słów z takim podtekstem jest więcej, nie narokujemy się więc. Czy myślisz naprawdę, że nagle wszystko się odmieni?

Optymista — To nie. Ale jest przecież kierunek działania, są dosyć konkretne cele.

Pesymista — Sam mówisz — dosyć konkretne. Wszystko więc zależy od interpretacji i dobrej woli.

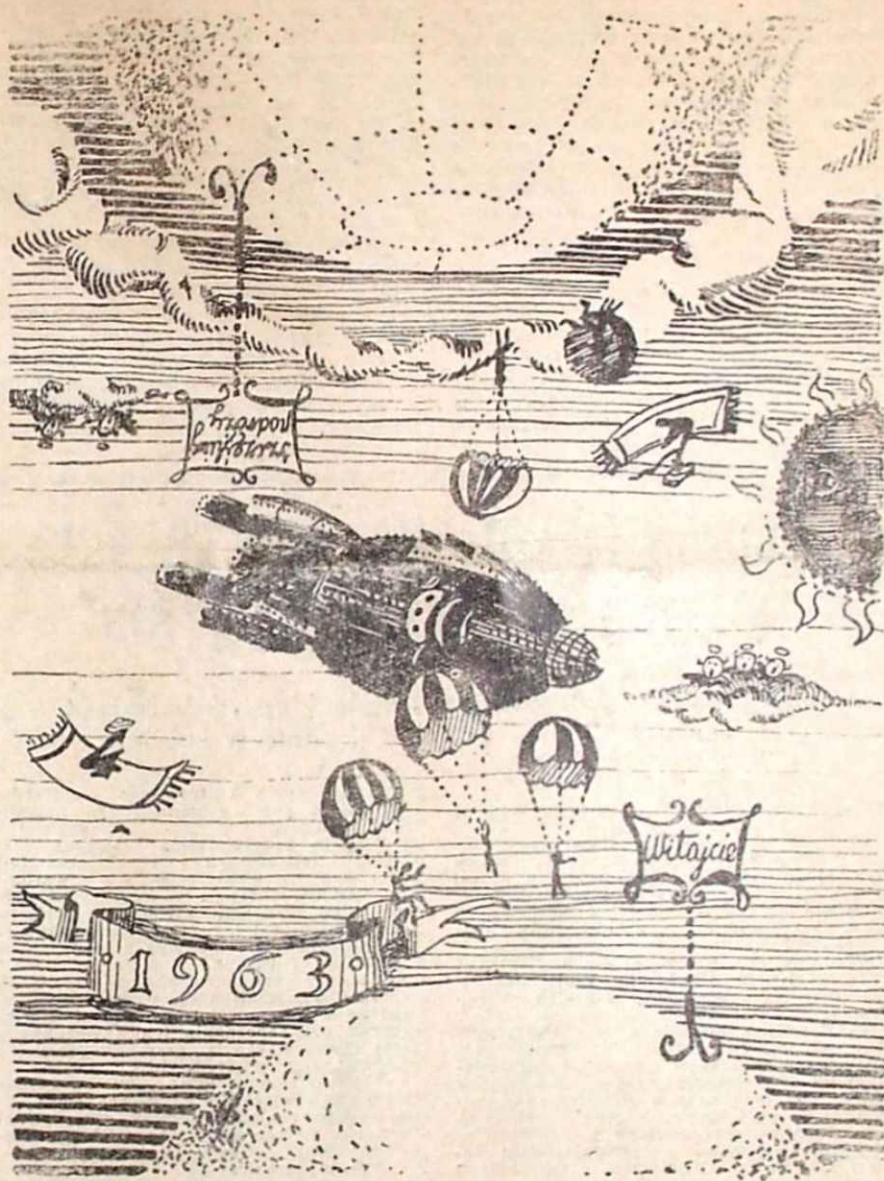
Optymista — Oczywiście. Ale na szczęście jesteśmy już daleko od czasów, gdy w takich uchwałach jak naszego sejmiku dawaliśmy recepty na wszystkie dolegliwości. Interpretacja szczegółów rzeczywiście może być różna, ale przecież nie o szczegóły chodzi.

Pesymista — Ale dobra wola, dobra wola! Czy zwróciłeś uwagę, że na 25 dyskutantów przynajmniej połowa brosiła swoich pozycji, zaatakowanych w referacie wstępnym? Jak tu więc mówić o dobrej woli, chociaż nie brakowało deklaracji, jeżeli wystąpienia ograniczają się tylko do obrony? I nie wydaje mi się słuszne, aby referat powinien być czymś w rodzaju cenzurki dla każdej instytucji, organizacji czy środowiska.

Optymista — Wcale nie uważam, aby to były cenzurki. Ale przecież jakąś ocenę publiczną trzeba było, po raz pierwszy od wielu lat, dać. Rada pedagogiczna — jeżeli już trzymać się kryterium szkolnego — była złożona z czynników najbardziej do wydawania takiej oceny powołanych: wszystkie partie polityczne, Miejski Komitet Frontu Narodowego, przedstawiciele Miejskiej Rady Narodowej. Zresztą każdy miał pełną swobodę sprzeciwienia się tej ocenie i, jak sam mówisz, wielu z tego skorzystało.

Pesymista — Nawet zbyt wielu. I czy sądziś, że sprawy kultury naszego miasta wszystkim naprawdę leżały na sercu? W drugim dniu obrad, właśnie wtedy, gdy toczyła się dyskusja i podejmowano uchwałę, nie było na sali ani jednego przedstawiciela władz wojewódzkich. Sejmik otwarto w obecności ok. 250 osób, zamknięto przy obecności ok. 60 osób. Przerzedziło się nie tylko na sali, ale również przy przydzielonym stole. To chyba coś mówi.

(Dokończenie na str. 2)



Rys. Liliana Jankowska

Szczęśliwego Nowego Roku
życzy Wam, Drodzy Czytelnicy,
„Kameno”

obserwować można na niwie kulturalnej. Dochodzi do podziału na kulturę intelektualną dla wybranych i masową, drugiego gatunku, dla szerokich rzesz, zwłaszcza dla prowincji, przy czym pod to pojęcie podporządkowuje się wszystko co naiwne i prymitywne. Najgorsze, że nie ma chyba instytucji, placówki kulturalnej, która w mniejszym lub większym stopniu nie stosowałaby podobnej zasady.

„Polskie Radio” prowadzi wiele interesujących audycji dla wsi, reprezentują one wysoki fachowy poziom, a równocześnie są bardzo komunikatywne. Tym dziwniejsze, że kiedy docho-’zi do audycji rozrywkowych, ta sama instytucja zapomina o dobrych zwyczajach redakcji wiejskiej. W zakresie rozrywki stosuje już staranny podział słuchaczy, dostosowując do niego poziom audycji. Dla „intelektualistów” jest „Podwieczorek przy mikrofonie”, dla środowiska robotniczego — „Program z dywanikiem”, chyba najlepsza audycja rozrywkowa, a dla wsi „Wesoły autobus”. Można oczywiście wątpić w intelektualne wartości „Podwieczorku”, lecz zawsze będą one poważne w porównaniu z bzdurami „Wesołego autobusu”, dostosowanego rzekomo do poziomu myślenia ludzi na wsi. W pojęciu autorów audycji chłop musi być jeszcze na etapie paleolitu, jeżeli ma się bawić dowcipami „Wesołego autobusu”.

Podniosła się oczywiście głosy, że przecież radia może słuchać każdy, bez względu na przeznaczenie danej audycji. Zgoda, tylko po co wobec tego różnicowanie tych audycji, po co cel, dla którego je stworzono? Z drugiej strony można przytoczyć argument, że np. audycja z pewnością nie najwyższego lotu, „W Jezioranach”, cieszy się wielkim powodzeniem na wsi. Tutaj istotna jest tematyka — wiejska codzienność, trafnie uchwycone zwykłe sprawy. Gdyby to samo zdołano przetransponować na audycje o znacznie wyższym poziomie intelektualnym, powodzenie byłoby nie mniejsze. Oczywiście, łatwiej jest przyjąć, że wieś nie potrafi zrozumieć pewnych rzeczy, i stąd audycje typu „Wesoły autobus”. Tymczasem na jej sygnał milkną na wsi radia, chociaż „Podwieczorku” słuchają wszyscy, no bo co tam jest do rozumienia?

Jako nieodrodna siostra radia, nasza telewizja również prezentuje podobne manery, zwłaszcza w zakresie audycji rozrywkowych. Dla inteligencji „Kabaret starszych panów”, zresztą znakomity, a dla maluczkich „Niedzielnia biesiada”, o której poziomie lepiej nie mówić. Wieś i tym razem poznała się na wartościach audycji, toteż w porze jej nadawania telewizory wypoczywają. Dobrze to świadczy o wiejskich odbiorcach programu, ale powoli narasta w nich przekonanie, że instytucje centralne traktują ich jak kule u nogi. Zdumiała mnie kiedyś mizerna frekwencja w kinie wiejskim. Kiedy za-

(Dokończenie na str. 4)

KRÓLESTWO SZMIRY

JACEK WOJCIECHOWSKI

POPULARNE stały się ostatnio rozważania na temat kultury masowej, jej pozytywnych i ujemnych aspektów, a mnogość wystąpień prasowych pozwala wnioskować, że istnieją ważne po temu przyczyny. Wydaje mi się, że wynika to z dostrzeżenia wręcz wulgaryzacji, gwałtownego spłylenia kultury, występującego szczególnie jaskrawo na prowincji. Kultura masowa pojęta jako kultura komercyjna, występująca w społeczeństwie kapitalistycznym, staje się towarem i jako taka nie kształtuje, lecz tylko zaspokaja gusty odbiorców. U nas nie zachodzi potrzeba, by kultura stała się rentowna w sensie finansowym, nasze ambicje idą dużo dalej, chcemy,

aby przez podniesienie poziomu kultury wzrosł ogólny poziom życia. A jednak mimo to kultura organizowana pod publicznie nie jest w Polsce zjawiskiem marginesowym.

W pewnym miejscu urywają się ambitne zamierzenia, niktą gdzieś dążąc do wyrobienia gustów odbiorców, od-tąd wszystko idzie po linii najmniejszego oporu, zaczyna się chała, w najgorszym pojęciu tego wyrazu. Kultura napotyka na trudności w porozumieniu z odbiorcami, lecz zamiast szukać sposobów dojścia... odwraca się tyłem, pokazując tę właśnie mało reprezentacyjną stronę. Tak powstaje kultura dla maluczkich, dla ubogich duchem, najbardziej ohydne zjawisko, jakie za-

O SEJMIKU KULTURALNYM LUBLINA

(Dokończenie ze str. 1)

Optymista — Owszem, mówi. Ja osobiście wolę jednak 60 dobrych pracowników czy działaczy niż 250 takich, którzy się nimi tylko mienią. Zresztą wszystkich w czambuł też potępić nie można, różnie się przecież niektórym układały te dwa dni.

Pesymista — Ale te puste krzesła, jak również część dyskusji, potwierdzają największy zarzut, jaki trzeba postawić i jaki na sejmiku postawiono lubelskim środowiskom twórczym: dezintegracji.

Optymista — A ja twierdzę, że jasne sformułowanie i postawienie tej sprawy jest największą zdobyczą sejmiku. Aby leczyć, trzeba postawić diagnozę. Ta była najzupełniej słuszną. Niestety, w tej dziedzinie jeszcze antybiotyki nie wynaleziono i leczenie może potrwać długo.

Pesymista — Zanim pacjenta wyleczy z choroby, może umrzeć śmiercią naturalną.

Optymista — Nie bądź złośliwy dla wątpliwej wartości dowcipu. Złośliwość jest bronią tych, którzy czują przegrana. Oczywiście zaniku dezintegracji nie można ani zadekretować, ani załatwić jednym czy drugim zebraniem. Sprawa jest na tyle skomplikowana, ile skomplikowane są charaktery ludzkie, a niestety i przeciwstawne interesy różnych środowisk czy instytucji też działają ujemnie. Ale wcale nie trzeba cudu, aby to zmienić. Gdyby nawet cud był możliwy, tutaj czekałby się szkodliwy. Słyszałeś, że wielu ludzi zdaje sobie sprawę ze szkodliwości tego zjawiska i już to napawa optymizmem.

Pesymista — Ale słyszałeś również, że niemal każdy dyskutant mówił o dużych, bardzo dużych brakach naszej bazy materialnej. Wiemy wszyscy, że trudna sytuacja gospodarcza państwa nie pozwala na zaczynanie nowych inwestycji. A inwestycje z dziedziny kultury są i bardzo drogie i bardzo długotrwałe. Nieprędko więc uzyskamy coś nowego. I dlaczego za każdym razem, gdy trzeba ograniczać wydatki, przede wszystkim sięgamy do wydatków na działalność kulturalną?

Optymista — Czy sądzisz, iż człowieka jaskiniowego dałoby się namówić do pójdęcia do teatru, gdyby wiedział, że w tym samym czasie może sobie zbudować domek, a nawet szalas na powierzchni ziemi?

Pesymista — Coś mi tu pachnie demagogią.

Optymista — Chyba nie, tylko rozumowaniem posuniętym do skrajności. Mimo wszystko na pierwszym miejscu trzeba postawić jedzenie, na drugim mieszkanie. Na to pierwsze, rolniczo, wydajemy więcej, na drugie identycznie to samo. W przykrych cięciach kultura nie jest jedynym wyjątkiem. Zresztą w skali krajowej na działalność kulturalną państwo wydaje to samo co przed rokiem. Jeżeli u nas jest mniej, to chyba nasza wina.

Pesymista — To nie zmienia faktu, że nasza Filharmonia już drugi sezon jest bez dachu nad głową, że budynek teatru rozlatuje się, że hala przy Lubartowskiej to wstyd, że sala Domu Kultury przy FSC ma być przekształcona na stołówkę, że część zamku po renowacji zburzyć, ale nie umiemy odbudować, że wieloletnia rdza niedługo zniszczy rusztowania wokół szacownej Bramy Krakowskiej, że szkoły muzyczne dosłownie gnieżdżą się w okropnych warunkach, że...

Optymista — Zaraz, zaraz. Wiem, że lista braków wcale nie jest skończona. Sam mógłbym ją przedłużyć. Ale czy to przypadkiem nie jest program maksimum? Trzeba tu chyba ustalić jakąś kolejność. Jak wiesz, dotychczas każdy wołał o swoje, no i musiało się skończyć tak, że nikt nie dostał nic. Właśnie na ostatnim sejmiku ustalono wrzescie listę najpilniejszych inwestycji.

Pesymista — W sam czas, właśnie wtedy, gdy nie wolno zaczynać realizacji nowych inwestycji.

Optymista — Sytuacja ciężka, ale dobrze wiesz, że przejściowo. I może przez ten czas jakoś oprytniejszemy. Ja jestem oburzony nie wstrzymaniem nowych inwestycji, ale tym, że wciąż nie umiemy wykorzystywać tego, co dostajemy. Popatrz na jeden tylko, nawet mały rejon miasta. Niedawno zakończyliśmy tam budowę dwóch obiektów kulturalnych: nowoczesnego kina „Kosmos” i Domu Technika.

Pesymista — I „Kosmos” nie posiada żadnego zaplecza, aby mógł tam wystąpić chociaż średniej wielkości

zespół estradowy. Piękna sala „Domu Technika” ma scenę minimalną, zaplecze żadne i w rezultacie sala prawie wcale nie jest wykorzystana.

Optymista — To nie wszystko. W tym samym rejonie miasta buduje się jeszcze trzy sale: w akademickim Domu Społeczno - Usługowym, w Domu Nauczyciela i w gmachu Polskiego Radia. A tuż obok jest jeszcze duża aula Wyższej Szkoły Rolniczej.

Pesymista — No i co z tego?

Optymista — To z tego, że pośrednio czy bezpośrednio — jednak moglibyśmy dużo wykorzystać dla działalności kulturalnej. Zresztą i tak wykorzystamy, rzecz tylko w tym, że albo dla wąskiego grona, albo w jednym kierunku.

Pesymista — I to cię nie irytuje?

Optymista — Irytuje. Ale właśnie po to był sejmik, aby sobie i takie zjawisko uprzytomnić. I jego dwa aspekty. Pierwszy — że Wydział Budownictwa, Urbanistyki i Architektury Prezydium MRN w Lublinie nie panuje nad inwestycjami. Po prostu nie powinien był zatwierdzić dokumentacji tak egoistycznie pomysłowych obiektów, powinien był nakazać ich odpowiednią korektę. Ale to nie tylko jego słabość — to wynik naszej wspólnej słabości. I drugie — że stanowisko inwestorów tych obiektów, zarówno z Lublina, jak i central warszawskich, jest także znakomitym przykładem dezintegracji. No bo niby dla czego Centralny Zarząd KIn ma dbać (i dawać pieniądze) o miejsce dla zespołów estradowych, a Naczelna Organizacja Techniczna o lubelską Filharmonię? Szkodliwe to rozumowanie.

Pesymista — Mówisz, jakbyś przejął moją rolę.

Optymista — Pozornie, mój drogi. Zjawiska te są niewątpliwie ujemne. Ale jeżeli je dostrzegamy, jeżeli zaczynamy o nich głośno mówić i czarno na białym pisać, domagać się zmiany, to prędzej czy później doprowadzimy do takiej zmiany. Ty widzisz tylko pierw-

szą część, a ja za ważniejszą uważam drugą. I dlatego, mimo wielu pesymistycznych faktów jestem optymistą.

Pesymista — Mówisz jak z książki.

Optymista — Zła to książka, która uczy pesymizmu. Ale zatrzymajmy się na chwilę przy książkach. Narzekasz i narzekasz, a wcale nie widzisz, że przecież wiele zrobiliśmy w ostatnich latach. Chociażby Wydawnictwo Lubelskie. Instytucja państwowa dzisiaj, ale przecież powstała jako spółdzielnia w wyniku twórczej inicjatywy lubelskich środowisk twórczych — literatów, naukowców, dziennikarzy. Przed 5 laty wydała 15 tysięcy egzemplarzy, w obecnym roku 181 tys. Przed pięć laty wydrukowano 27 arkuszy wydawniczych, teraz 253. Liczba tytułów wzrosła 7 razy. To jest chyba coś — a dorobek wyłącznie nasz własny, lubelski.

Pesymista — Czytałeś „Politykę” z 15 grudnia? Białostocki literat Tadeusz Sokół skarżył się, że przez dwa lata Wydawnictwo Lubelskie wydało dla województwa białostockiego tylko jedną książkę, podczas gdy 8-9 debiutów musi wciąż czekać w szufladach.

Optymista — A pamiętasz, jak to przed trzema laty nam tu w Lublinie też było ciężko? Wskutek braku przydziału papieru i trudności drukarskich też musieliśmy ograniczyć produkcję Wydawnictwa. W tej chwili przydziały są od nas niezależne, ale chyba musimy pomóc sąsiadom więcej niż dotąd.

Pesymista — Nie sądzisz, że Wydawnictwo Lubelskie powinno ogłosić jakiś konkurs literacki na XX-lecie odzyskania niepodległości? Pierwszy konkurs, chociaż nie zakończył się sukcesem, dał jednak dużo ciekawych pozycji.

Optymista — Sądzę, że powinno. Przed czterema laty spółdzielnia decydowała sama, teraz wydawnictwo państwowe musi mieć odpowiednią sumę w budżecie. A jeżeli Warszawa nie kwapi się z subsydiowaniem ubogich

krewnych, to przecież nasze władze wojewódzkie i miejskie powinny przewidzieć odpowiednie środki. Tak robią rady narodowe wielu miast w Polsce. Jeżeli u nas nie, to nasza wina.

Pesymista — Niby jak ma być coś takiego w budżecie, jeżeli w Komisji Kultury WRN nie ma ani jednego literata, ani jednego plastyka, ani jednego dziennikarza, ani jednego muzyka?

Optymista — Prawda. To chyba świadczy, że dezintegracja zaczyna się od władz.

Pesymista — Wyjąłeś mi to z ust. Drugim przykładem wieczne nieporozumienia na linii dwóch wydziałów kultury — wojewódzkiego i miejskiego. Jeden narzeka na drugi, i odwrotnie.

Optymista — Mówiono o tym na sejmiku i nikt inny jak przewodniczący MK FJN zobowiązał się doprowadzić do jasnego rozdziału kompetencji, zarówno po stronie obowiązków jak i praw.

Pesymista — Rozprawiamy tu na różne tematy kulturalne, a właściwie nie bardzo wiemy, co to jest ta kultura. Czy chodzi tylko o literaturę, sztukę, muzykę, teatr? Na sejmiku tylko jeden mówca i to niemal wstydliwie wspominał o tak potężnym, chyba najpotężniejszym środku działania, jakim jest telewizja.

Optymista — Telewizja jest u nas jeszcze nowością techniczną, zabawką, w najlepszym razie rozrywką. Ale to wkrótce minie. Telewizja szybko staje się zjawiskiem masowym, a my nie umiemy, nie wiemy, jak się zabrać do jej wykorzystywania. W tej chwili rzecz ogranicza się do wystawienia telewizora w świetlicy i na tym koniec. Rzeczywiście trzeba się do tego zabrać i to szybko.

Pesymista — A jednak unikasz spreycyzowania, co to właściwie jest ta kultura.

Optymista — Wcale nie unikam, chociaż każda odpowiedź będzie niepełna, każdą można podważyć, uzupełnić. Myślę, że do całości życia kulturalnego należy włączyć naukę i technikę esletykę miejsca pracy i domu, kulturę współżycia społecznego, stosunki międzyludzkie w życiu prywatnym, zawodowym i służbowym.

Pesymista — I sądzisz, że to wszystko da się załatwić jednym sejmikiem kulturalnym?

Optymista — Wcale nie sądzę. Myślę jednak, że słusznie zajęliśmy się na tym sejmiku tylko tymi sprawami, które niejako tradycyjnie łączą się z pojęciem kultury. Wiesz zresztą dobrze, że mówiono zarówno o twórczości, jak i konsumpcji kultury. Załatwmy najpierw te sprawy, a potem weźmy się do innych. Roboty wystarczy.

Pesymista — I ty naprawdę wierzysz, że załatwimy do następnego sejmiku, za rok, te wszystkie sprawy, o których mówiono?

Optymista — Będzie dobrze, jeżeli załatwimy chociaż czwartą część. Może więcej. A wiesz dlaczego wierzę? Przed rokiem w tej samej sali z inicjatywy tych samych partii politycznych, MK FJN i MRN zwołano zebranie w sprawie budownictwa mieszkaniowego.

Pesymista — No i co, dostali wszyscy mieszkania?

Optymista — Jeszcze nie. Ale już budujemy kilkadziesiąt izb więcej, niż przewidywały pierwotne plany. A przecież budownictwo, zwłaszcza mieszkaniowe, to chyba najtrudniejszy problem naszych czasów. Jednak już po roku postępy są. Budujemy taniej, budujemy więcej i szybciej, sporządziliśmy pięcioletni plan przydziałów i konsekwentnie go realizujemy.

Pesymista — Z tą konsekwencją różnie bywa.

Optymista — Ludzie nie odmieniają się z dnia na dzień. Życie też przynosi konieczność różnych zmian i uzupełnień. To, co uchwaliliśmy na sejmiku, było tylko programem ogólnym. Szczegółowe muszą sobie wypracować poszczególne instytucje, stowarzyszenia, związki twórcze. To wymaga także najcięższego rodzaju pracy — nad samym sobą. Pesymistom nigdy nie zabraknie tematów i zjawisk do krytykowania. No cóż — oni też muszą żyć, czasem są nawet potrzebni. Ale narzekanie i czekanie na dotacje nie może dominować i warunkować istnienia i pracy. Jeżeli to zdołamy przełamać, przełamiemy równocześnie największą u nas trudność: dezintegrację środowisk twórczych i instytucjonalnych.

MIĘDZYWOJEWÓDZKA KONFERENCJA MŁODYCH INTELIGENTÓW

województw: białostockiego, kieleckiego, lubelskiego i rzeszowskiego w dn. 6-8 grudnia w Lublinie

WNIOSKI SEKCJI WSPÓLPRACY I KOORDYNACJI

— Sugeruje się organizatorom rozważenie możliwości powołania komisji do spraw młodej inteligencji i absolwentów, której zadaniem byłoby inspirowanie i koordynowanie inicjatyw społeczno-kulturalnych oraz jej współpracy z ośrodkami akademickimi kraju.

— Inicjatywami okresowych spotkań zbiorczych komisji byłaby Rada Okręgowa Zrzeszenia Studentów Polskich w Lublinie.

— Powołana komisja zwróci się z apelem do władz, organizacji społecznych, niektórych zakładów pracy i przedsiębiorstw o otoczenie opieką absolwentów szkół wyższych oraz o udzielenie im pomocy w pogłębianiu wiedzy zawodowej.

— ZSP w porozumieniu z organizacjami młodzieżowymi zorganizuje stałą informację o możliwościach i warunkach zatrudnienia na terenie czterech województw.

— Należy zwrócić się do TWP, ZNP, NOT, ZMS, ZMW i in. organizacji oraz instytucji zainteresowanych sprawą aktywizacji inteligencji w życiu kulturalnym o większą niż dotychczas opiekę nad terenowymi środowiskami inteligencji.

— Zwrócić się do Wydziałów Kultury Prezydium WRN o opracowanie programów współpracy domów kultury z młodą inteligencją w terenie. Szczególną rolę mała do odegrania WDK, jako ośrodki inspirować prace młodej inteligencji na wsi i w małych miastach. Postuluje się odbywanie okresowych seminariów kulturalnych dla inteligencji reprezentowanych województw w celu wzmacnienia związków między poszczególnymi środowiskami inteligencji w terenie.

— Prasa i lokalne rozgłoszenie PR winny szerzej popularyzować aktualne problemy społeczno-kulturalne, ciekawsze formy pracy oraz oświadczenia socjologii i in. nauk społecznych na temat funkcji i roli młodej inteligencji w życiu społecznym.

— Lubelskie środowisko naukowe winno programowo zająć się badaniami społecznymi i zawodowymi losów absolwentów i in. grup inteligentnych w terenie, ponieważ uśrednione wyniki tych badań mogą stać się podstawą do racjonalnego rozstrzygnięcia społecznych i kulturalnych problemów prowincji.

— Należy koordynować działalność bibliotek publicznych, pedagogicznych, fachowych i zakładowych w zaopatrzeniu kłodozbiórów.

— Wprowadzić porady bibliograficzne i inne o typu informacyjne.

— Zwrócić się do inteligencji z apelem o aktywniejsze zainteresowanie się pro-

blematyką życia kulturalnego środowiska i udział w pracach komisji rad narodowych.

— W celu przyspieszenia integracji środowisk inteligentnych rzeczą istotną jest stworzenie najkorzystniejszych warunków dla kontaktów i współpracy między wszystkimi grupami zawodowymi inteligencji pracującej i twórczej przez ożywienie działalności regionalnych towarzystw naukowych i innych.

— Należy zorganizować na uczelniach program systematycznej współpracy studentów z terenowymi ośrodkami kulturalnymi dla zapoznania ich z warunkami życia kulturalnego i przysposobienia do przyszłej roli w środowisku.

— Należy spowodować, by wszystkie instytucje i placówki zajmujące się sprawą upowszechnienia kultury oraz stowarzyszenia twórcze zwróciły większą uwagę na sprawę oddziaływania wśród inteligencji w terenie.

— Postuluje się zorganizowanie konferencji inteligencji terenowej w poszczególnych województwach reprezentowanych na naradzie, z udziałem władz partyjnych, administracyjnych, instytucji kulturalnych i organizacji społecznych. Postuluje się zorganizowanie na UMCS sesji popularno-naukowej poświęconej problemowi inteligencji — w jesieni 1963 r. Postuluje się, aby wyższe uczelnie lubelskie odbywały systematycznie spotkania z absolwentami zatrudnionymi na obszarze 4 województw w celu utrzymania i poszerzenia kontaktów naukowych.

WNIOSKI SEKCJI SPRAW ZATRUDNIENIA

W oparciu o referat pt. „Zapotrzebowanie kadrowe i sytuacja absolwentów w czterech województwach” w sekcji zatrudnienia wysunięto następujące wnioski:

I. Wnioski w zakresie zatrudnienia

— Prezydium WRN 4 województw, w porozumieniu z Zrzeszeniem Studentów Polskich, Związkiem Młodzieży Socjalistycznej, Związkiem Młodzieży Wiejskiej i szkołami wyższymi terenu, powołują Ośrodek koordynujący zatrudnienie absolwentów szkół wyższych na terenie czterech województw.

— Celem Ośrodka byłaby szersza orientacja w możliwościach zatrudnienia, ściślej współpraca z uczelniami komitetami zatrudnienia i studenckimi biurami pośrednictwa pracy.

— Prowadzić szerokiej informacji wśród studentów szkół wyższych, szczególnie tych kierunków, których nie ma na

(Dokończenie na str. 11)

Jerzy Dostatni

W 50 rocznicę Jej debiutu

DANUTA ZAWISTOWSKA

JESIEN 1962 roku jest datą jubileuszową pięćdziesięciolecia twórczości wybitnej poetki współczesnej, Kazimiera Ilakowiczówny. Rocznicą ta stanowi okazję do jeszcze jednego spojrzenia na niezwykle, oryginalne zjawisko, jakim była i jest poezja „Połowa”, „Czarodziejskich zwierciadełek” czy „Ro. bitego fotoplastikonu”.

Na przestrzeni pięćdziesięciu lat, dzielących nas od debiutu — „Ikarowych lotów” (1912) — wydała Ilakowiczówna 36 tomów, które obok głównego jej zainteresowania — poezji lirycznej lub epicko-lirycznej — reprezentują także prozę wspomnieniową, twórczość dla dzieci, bajkę, fraszkę i dramat. Oprócz twórczości oryginalnej, bogato rozwijanej, poprzez trzy epoki, zajmuje się ośmieską, jak wiadomo, przekładami z dziedziny poezji, dramatu i prozy, uznanymi słuszenie za wybitne osiągnięcia w tym zakresie. W przekładach wykorzystuje swe poliglotyczne zainteresowania i zdolności, tłumacząc z wielu języków: z niemieckiego, rosyjskiego, angielskiego, węgierskiego, rumuńskiego, ydysz, bułgarskiego i języków narodów Jugosławii.

Ilakowiczówna należy do rzadko spotykanych pisarzy, których indywidualne oblicze poetyckie kształtuje się już w okresie twórczości młodzieńczej, a wszelkie ewolucje polegają nie na zasadniczych zmianach, lecz raczej na pogłębianiu intelektualnych i uczuciowych wartości tych samych w gruncie rzeczy motywów oraz na dojrzewaniu poetyckiego języka.

W „Ikarowych lotach”, debiucie wyglądającym z pozoru na dzieło bardzo młodzieńcze i bardzo młodopolskie, a więc nie zapowiadające większych rewelacji, można już dostrzec zalety wszystkich niemal motywów i ujęć, które rozwijane będą w ciągu wielu lat późniejszej twórczości i staną się podstawą ciekawej, oryginalnej poetyki Ilakowiczówny. Mamy tam więc wiersze erotyczne, religijne, lirykę patriotyczną, wspomnieniową, pierwsze pomysły z zakresu fantastyki i pierwsze próby literackiego portretu. W paru wierszach występują — w mniejszej lub bardziej załączkowej postaci — istotne cechy języka poetyckiego Ilakowiczówny: stylizacja „ludowo-dziecięca”.

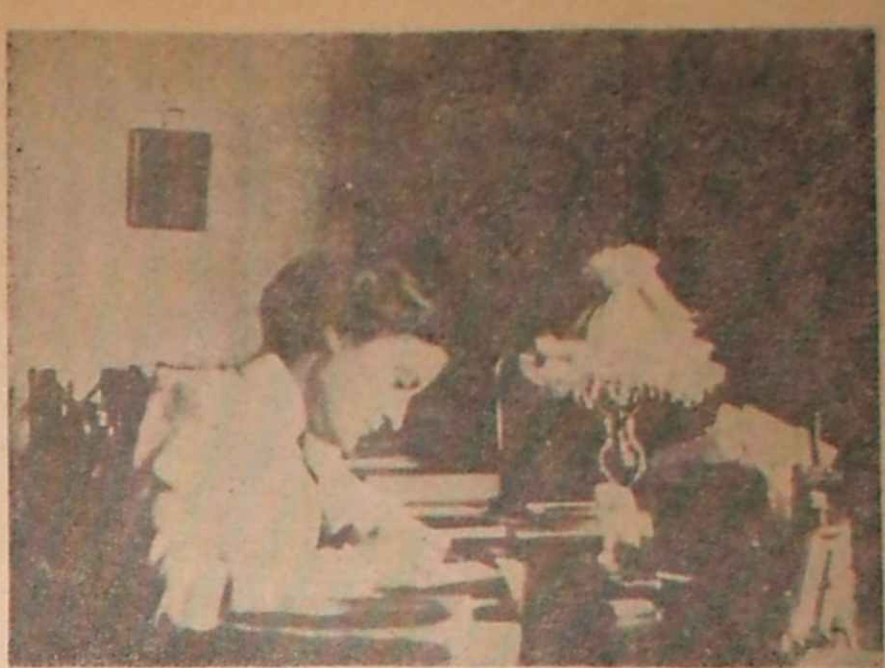
Już w „Ikarowych lotach” widać także kształtowanie się centralnej osi zainteresowań tematycznych, które twórczość późniejsza — okres dwudziestolecia i powojenny — w pełni rozwinię i wzbogaci. Osią tą jest człowiek, jako niepowtarzalne, bogate, świetnie „podpatrzone” indywidualium.

Zainteresowania humanistyczne, tak zdawałoby się typowe dla wszelkiej liryki, wydają się w twórczości Ilakowiczówny odgrywać szczególnie ważną dominującą rolę, wypierając, a przynajmniej ograniczając zakres wielu innych, również typowych dla liryki tematów. Nie ma więc prawie w tej poezji „czystych” motywów przyrody, nie ma epicko potraktowanych wydarzeń bez głębszych, humanistycznych odniesień, nie ma rozważań czyś abstrakcyjnych. W centrum poetyckiej wizji, inspirowanej humanistyczną treścią, występuje zawsze (w funkcji bądź to przedmiotu, bądź podmiotu lirycznego) żywy człowiek lub konkretna grupa społeczna, ukazwane w wielu i różnorodnych aspektach.

Bohaterami wierszy Ilakowiczówny są historyczne postacie wodzów i królów i bezimienni prości żołnierze, zahukane służące i ich kapryśne panie, naiwne dziewczyny z ludu i skomplikowani psychicznie kochankowie; ludzie o „spracowanych, splekanych rękach” — robotnicy, dozorca szpitala „przez wielki wiew wolności wydobył z suteren”, zapobiegliwi, drobni właściciele pól i ogrodów, pastusi zajęci swymi stadami, ale i wyrafinowani uczuciowo inteligenci, śmiesznie zarozumiali dygnitarze rumuńscy czy zdeklasowane arystokratki.

Humanistyczne inklinacje poetki nie uznają granic narodowości ani czasu. Obok Polaków interesują ją Żydzi i Węgrzy, Rumuni i Litwini, Niemcy i Cyganie. Bohaterami jej urzekających legend i ballad są średnio-wieczni święci, postacie z okresu piastowskiego czy epoki jagiellońskiej, ale także nieznanymi historii „szarzy” żołnierze, walczący w I czy II wojnie światowej.

Konsekwencją humanistycznych zainteresowań poetki jest upodobanie do formy szczególnie dla nich adekwatnej, mianowicie do literackiego portretu. W tej dziedzinie jest Ilakowiczówna niewątpliwie jednym z naj-



Kazimiera Ilakowiczówna

wybitniejszych twórców na przestrzeni wszystkich epok poezji polskiej.

W najbardziej „czystej” postaci pojawił się portret literacki w dwóch tomikach poświęconych wyłącznie tego rodzaju wierszom: w „Obrazach imion wróżebnych” (1926) i „Czarodziejskich zwierciadłkach” (1929). Lecz i poza nimi — twórczość wcześniejsza i późniejsza usiana jest gęsto wierszami, które można zaliczyć do tego gatunku.

Każdy z portretów stworzonych przez Ilakowiczównę jest inny, każdy przy tym uderza sugestywnością psychologicznego rysunku i oryginalnością poetyckiego ujęcia. Przesuwa się przed nami bogata galeria postaci: skomplikowani i prości, lekliwi i śmiały, zdobywcy, pracownicy i napiętnowani „lagodnością lenistwa”, subtelni i gruboskórni, klerkowie i prostytutki, ludzie z „duszą artystyczną”, dla których „jedynym stałym łodem jest dźwięk, ton, muzyka” i ludzie praktyczni, ziewający wśród arcydzieł sztuki, a pełni za to innego wdzięku — wdzięku witalnej siły i młodości. Bo żadna z postaci portretów nie jest w ujęciu autorki „gorsza” lub „lepsza” od innej, mniej lub bardziej interesująca jako psychologiczne studium i jako żywy człowiek; każda niejako poціąga poetkę jakąś własną wartością zasługującą na swoisty podziw i szacunek.

Ludzi — bohaterów swych wierszy — nie ukazuje poetka beznamiętnie. Do punktu widzenia psychologa — badacza dołącza się nieomal zawsze żywy stosunek współczującego człowieka, który (obok innych czynników) decyduje o lirycznym kształcie wierszy Ilakowiczówny. Poetka roztacza przed nami całą gamę przyjaznych człowiekowi uczuć, w których klimacie rozwija swe humanistyczne tematy: raz jest to ogólne poczucie braterstwa wobec człowieka, kiedy indziej — stosunek przyjaźni, a często — wzruszająca głębia a zarazem prostota — miłość rodzinna czy miłość do ojczyzny; patriotyzm wierszy Ilakowiczówny towarzyszy wydarzeniom związanym z losami naszego kraju, począwszy od I wojny światowej, aż po dni dzisiejsze.

Zwielokrotnionym kształtem miłości poetki do świata jest jej liryka fantastyczna. W tej dziedzinie zajmuje Ilakowiczówna pozycję bezkonkurencyjną w polskiej poezji współczesnej. Jak by nie wystarczyło byłoby aktualnie istniejących, rozgląda się czwórnym okiem poety i „dostrzega” byty nowe, nie widziane przez profanów. Odsłania przed nami wielki, urzekający świat istnień: jakichś ludzi — nie-ludzi, uduchowionych „placzących” pla-

(Dokończenie na str. 13)

„Sprawdzam szepem wyraz ostatni”.

Julian Przybóś

O CZYM się dziś mówi u nas w środowisku poetów? Mówi się o potrzebie pisma poetyckiego, o organizacji Klubu Poetów i o stworzeniu Towarzystwa Przyjaciół Poezji, na którego bazie wydawano by tomiki poezji, podobnie jak to się praktykuje z powodzeniem w Czechosłowacji. Mówi się też oczywiście o wystąpieniu Juliana Przybósia przeciwko poetom nadużywającym elementów brzydoty i makabry w poezji. Julian Przybóś zaatakował w wierszu „Oda do turpistów” (turpis — po łacinie brzydki, szpetny) wybitnych poetów średniego i młodszego pokolenia. Przypuszczam, że bezpośrednim powodem był tu poemat Tadeusza Różewicza opublikowany w „Nowej Kulturze”, w którym Różewicz głosi apologę „śmietnika”, jako rzeczywistości konkretnej również dla poezji. Jak zwykle w poezji Różewicza, trzeba tu dostrzec charakterystyczną dla Różewicza przekorę, ironię i element poetyckiej auto-demaskacji. Różewicz jest poetą rzadko wypowiadającym się w sposób dyskursywny na tematy poetyckie, bardzo często natomiast w wierszach formuluje swoje poglądy, pisze do wiersza do wiersza swoją poetykę, często rażąco szpileczkami ironii i drwiny wiele przejawów współczesnej poezji i poetów. Ta auto-demaskacja poetycka Różewicza wynika stąd, że poeta ten ma niesłychanie wyczułone ucho na wszelki fałsz poetycki, kłamstwo, udanie, sztuczność. Nieustannie sam kompromituje poezję w sensie poetyckości, konwencjonalnego piękna i ładności, atakuje skostniałą tradycję sztuki jako skarbcza piękności. W zakresie stylistyki objawia się to w surowej eliminacji ozdobińców, wymuszeniu metafory, ornamentów, tak że Różewicz dochodzi do granicy wiersza, ba, często przekracza tę płynną przecież granicę i nie waha się nazwać wierszem prozaicznej no-

Listy o poezji (14)

POETYCKIE SPORY

ANNA KAMIENSKA

tatki, jaką niejedną z publicystów dawnej kwiecieńskie szkoły uznalby nawet za zbyt suchą jak na zdanie gazetowego artykułu.

Osobiście bardzo szanuję tę ascetyczną postawę Różewicza i jego awersję do poezji sztucznie piękności. Różewicz nie pragnie się podobać. Poezja według niego nie ma na celu podobać się. Poetka Różewicza i jego postawa poetycka bierze się z postawy moralnej tego poety, wypływa z głębokich urazów moralnych, z doświadczeń minionej wojny, jej moralnego koszmaru. Różewicz powiada, że łatwiej opisać nieskończoność niż ucho ukochanej. Różewiczowi szczególnie przypada do gustu ludowa pieśń Eskimosów, która mówi o szczęściu posiadania dla siebie zdobytego sadła. Różewicz tropi ładność, błąd, poetyzację, wymiagłowanie się niekonkretnymi wielkimi słowami (nieskończoność!) z konkretnych aż nadto spraw i problemów życia.

Jeśli Julian Przybóś do ataku na „turpistów” dołączył jeszcze Iredyńskiego, Grochowiaka, Białoszewskiego i innych młodych poetów, o których mówi w artykule idącym w ślady wiersza — to łączy tu tutaj tak odmiennie sprawy i postawy, że można by go posądzać o brak orientacji we współczesnej poezji. Skoro jednak o brak orientacji trudno posądzić Przybósia, trzeba przypuścić, że generalizuje on pewne przejawy wyłącznie z punktu widzenia estetyki.

Istotnie wielu młodych poetów lubuje się w brzydocie. Pisałam już o tym w jednym z moich listów. Przejawy takiej programowej, wyzywającej szpetoty widzieliśmy w rozpaczliwym i tragicznym zjawisku — w poezji przedwcześnie zmarłego krakowskiego poety Andrzeja Bursy. I tam szpetota wynikała z moralnego protestu wobec rzeczywistości lat 50-tych, sprzeciwiała się fałszywej idealizacji laurkowych wierszy tego okresu, była reakcją na laurkowość i układność poezji. Była krzykiem osobistego załamania i rozpaczem. Załamania i rozpacz nie możemy oceniać pozytywnie, gdyż są to zjawiska ujemne w samej istocie, ale w tym wypadku była to rozpacz szlachetna, buntownicza, odkłamująca, prawdziwa. Zapłacił za nią zresztą młody poeta najwyższą cenę — cenę własnego życia.

Co do innych poetów, którzy mogli „wziąć do siebie” zarzuty Przybósia — trzeba by tu wnikliwego krytyka, który by znowu przeszedł pewne obsesje wyobraźniowe tych poetów, a przede wszystkim ich funkcję w poezji, w postawie moralnej tych poetów wobec świata. Nie można bowiem sprowadzać do jednego terminu — „turpizmu” nadrealistycznych obsesji Białoszewskiego, upodobania do drapieżnych i okrutnych wizyj Grochowiaka, który wyraża poprzez nie swoją wewnętrzną prawdę, i „dzikości” Iredyńskiego, będącej wyrazem jego temperamentu poetyckiego i buntarskiej, bardzo jeszcze młodzieńczej postawy tego utalentowanego poety.

Te tak różne poetyki i różne postawy połączył Przybóś terminem „turpizmu”, zarzucając poetom nadużywanie szpetoty i niegodną naszego czasu rozpacz i pesymizm. Jedni, jak Jerzy Putrament, są bardzo zgorszeni tym, że Przybóś występuje przeciwko młodym, których opiekunem się wydawał, inni czują się dotknięci tym, że w wierszu swoim Przybóś parafrazuje „Ode do młodości”

po to, aby uderzyć młodych. Grochowiak i Iredyński, w których zawarła krew poetycka, odpowiedzieli wierszami. Przybóś zareagował na to artykułem noszącym piękny tytuł „Radość sporu”. Do redakcji nadchodziły wiersze i głosy czytelników poruszonych dyskusją. Przeciwnicy tzw. „nowoczesnej” poezji, wybrzydzący się na nią, nagle znaleźli nieoczekiwane go sojusznika w osobie samego papieża nowoczesności. Nawet „Kamena” w nocie kaja cieszy się — że młodych spotkał taki „druzgocący atak” i że „może to właśnie wpłynie na „deratyzację” poezji i nauczyci „w wierszach ruszać rozumem”. Jest więc ruch, jest „radość sporu”.

Istotnie, nasze dyskusje poetyckie wygasły i poeci bardzo pragną tego zasadniczego poetyckiego sporu. Nie jest to chyba jednak znowu ten spór, o jakim marzemy. Spór Przybósia z turpistami, spór turpistów z pulcherystami (bo chyba tak trzeba by nazwać przez analogię przeciwników brzydoty) — jest tak powikłany metodologicznie, że nie spodziewamy się po nim żadnych wyjaśnień sytuacji poezji współczesnej. Nie można bowiem dyskutować na temat jednego przejawu estetycznego nie uwzględniając właśnie tego, co zasadnicze: różnic poetyk, różnic postaw moralnych, różnic funkcji brzydoty i piękności w wierszach poetów, o których mowa, a również w poezji samego Juliana Przybósia. Poezja Przybósia od zakończenia wojny przeszła przecież wielką ewolucję. Niezmienną pozostał w Przybósia na sztukę zwykło się rzutować na jego poezję, nie zauważając jakże istotnych przekształceń poetyki autora „Na mniejsze słowa”. Tej ewolucji jeszcze żaden chyba z krytyków nie przeszedł i nie zanilizował.

Julian Przybóś był wielkim autorytetem mojej poetyckiej młodości i nie tylko mojej. Przynawałam się do te-

(Dokończenie na str. 4)

ATANAZY F E T

W 70 rocznicę
śmierci

PRZEKŁADY

KAZIMIERZA
ANDRZEJA
JAWORSKIEGO

Ludzie śpią, najdroższa, chodźmy do ogrodu;
Ludzie śpią, li gwiazdy patrzą w nas od wschodu,

A i te nie widzą nas wśród brów okiściel
I nie słyszą, — słyszy tylko ptak wśród liściel,

A i ten nie słyszy, w pieśni pogrążony,
Chyba ręka tylko, serca rytym wzmożony:

Słyszysz serce, jakie szczęście dziś w nim gościel,
Ile z sobą tu przynieśliśmy radościel,

No i ręka słysząc to, co serce mieściel,
Mówi mu, że druga ścisła ją i pieściel,

Ze od tej pleszczoty też i jej gorąco
I że mimo woli ramię ramię trąca.

Na stogu siana rozpostarty,
Twarz obróciłem w niebny świat;
W otchłanach noey w krąg rozwartej
Chór migających zgodnie gwiazd.

Jak snu widziadło nieme blade
Nieznamy pędził ziemski glob,
I tak jak w raju rodzic Adam
Twarzą w twarz ujrzał nieba strop.

Czy ja to mknąłem w otchłań nocną,
Czy na mnie gwiazdy mknęły wprost?
Zda się, trzymany dlonią mocną,
Zawisłem — nad przepaścią most.

I ze wzruszenia oniemiały
W rozwartą głąb wpijałem wzrok,
I z każdą chwilą zapadałem
Wciąż bezpowrotnie w czarny mrok.

Wciąż wiosna jeszcze. Jakby jakiś
[duch
Nieziemski sadem tym owładnął
[śpiącym.
Powoli idę, a obok milczący
Mój cień powtarza za mną każdy krok.

Nie mroczy drogi jeszcze szpaler
[drzew,
Spozą gałęzi nieba strop sinieje,
Ja idę, w twarz mi chłód pachnący
[wieje,
Ja idę — słyhać w krąg słowików
[śpiew...

Co się nie spełni, marzy mi się znów,
Co się nie spełni na tej biednej ziemi,
I pierś oddycha ruchami lekkimi,
I znów się kogoś chce objąć bez słów.

Nadejdzie czas — i może wkrótce już
Zaprać ziemia z wiosną się
[odświeżyć,
Lecz serce to przestanie już uderzać,
Martwe, niezdolne do miłosnych burz.

Co za wieczór! Wody białe
Strumień toczy...
I słowików srebrny trzel
Brzmi uroczy.

Miesiące światłem z górnych sfer
Zlewa niwy,
A w wąwozie wody szmer,
Cień i łąki.

W tamie otwór, płuski fal,
Deski zgnily, —
A nie oprzeć się o pał
Nie mam siły.

Jak to wiosną życie gra!
W gaju, w polu —
Wszystko śpiewa, wszystko drga
Mimo woli.

Umilkniemy jak wśród bżów
Chóry ptasie, —
Wtedy przyjdą z pieśnią znów
Dzieci nasze.

Lub nie dzieci wniosą śpiew,
Lecz wnukowie,
I to samo wiosny wiew
Im opowie.

tarło na wieś? Wnętrza wiejskich chat
zawsze charakteryzuje wielka ilość
obrazów, — paskudnych obrazów, ale
przecież na wsi innych dostać nie
sposób. Na jarmarcznych straganach
pełno „arcydzieł” w pastelowych bar-
wach, najczęściej spotykany motyw to
pastuszek o różowej twarzy, na tle
krwawo zachodzącego słońca, przy-
czym ostatnio częściej spotkać można
takie malowidła na kawałku deski niż
na płótnie. Że to niby bardziej ludo-
wo. Sa też motywy religijne — Pan
Jezus na łodzi zaprzęgniętej w cztery
łabędzie. Musowo w cztery, bo piąty
psuie perspektywę. Zresztą treść jest
mało istotną, ważne, żeby było co po-
wiesić. Ciekawe czemu sztuka współ-
czesna nie próbuje walczyć z paevkar-
stwem? „Domy Książki” organizują
czasem kiermasze książek w prowincjo-
nalnych miasteczkach, wystawienie
na nich kilku obrazów do sprzedaży
to żaden problem.

Związek Młodzieży Wiejskiej posia-
da poważne zasługi w rozpowszechnia-
niu kultury na wsi, ta preżna organi-
zacja zrobiła wiele dobrego w tej
dziedzinie. Jak się okazuje, również i
tam są ludzie, którzy sprawy kultury
załatwiają lewą nogą. Wydano ostat-
nio zbiór piosenek „Zaśpiewaj z na-
mi” (W-wa 1962 CPARA), będący dziw-
ną mieszanką pieśni ludowych, maso-
wych, popularnych i specjalnie stwo-
rzonych do tego zbioru, przeznacz-
nego dla młodzieży wiejskiej. Jak in-
formuje wkładka, zbiorek powstał z
inicjatywy ZMW, ale sędzę, że poważ-
ni działacze nie oglądali go dokładnie,
bo wówczas wwrwaliby czym prędzej
ten kielek wątpliwej inicjatywy. Nie
wnikam, czy rzeczywiście potrzeba
osobnego wydawnictwa, żeby podać
tekst „Gdy mi ciebie zabraknie”, ale
w zdumieniu wprawiają piosenki, stwo-
rzone na specjalny użytek wsi. Mówi
się, że teksty polskich piosenek są
głupie i bardzo głupie, z pewnością
jednak nawet to ostatnie określenie
nie oddaje jeszcze sensu niektórych
piosenek tego zbioru. Oto np. pio-
senka wiejskiej bibliotekarki:

Gdy złoty księżyc
z nieba się wychyla
i zmrok się ściela
wokół chat,

POETYCKIE SPORY

(Dokończenie ze str. 3)

go nieraz z wdzięcznością dla poety.
Jego wiersze, zwłaszcza z tomu „Pó-
ki my żyjemy”, były patriotycznym
katechizmem mojego pokolenia. Na
ścianie pokoju, w którym przeczeka-
jąc przejście frontu przygotowywa-
łam się do egzaminu z gramatyki
starocerkiewno-słowińskiej, wisiał ar-
kusze ze słowami wiersza Przybosa:
„Sprawdzam szeptem wyraz ostatni”.
Kiedy potem mówiłam o tym Przy-
bosiowi, przyjął bardzo poważnie mo-
ją pensjonarską egzaltację i potwier-
dził swoją myśl: — Tak, trzeba spraw-
dzać szeptem!...

Co oznaczało dla nas: sprawdzać
szeptem wyraz ostatni? — Oznaczało
właśnie sprawdzać jego dźwięk, tak
jak się sprawdza szkło lub metal,
sprawdzać czystość dźwięku słowa.
Czy brzmi prawdziwie? Czy nie kła-
mie, czy nie upiększa siebie? Czy nie
ma w nim nuty fałszywej piękności,
tej piękności, która się kocha w sobie
i nieczuła jest na niesprawiedliwość
i ból kolo siebie? To oznaczało dla
nas przybosiowe „sprawdzenie szeptem”.
Połato się wiele krwi, wyzwoli-
ło się wiele zł. „Człowiek zginął w
Oświęcimiu” — pisze Różewicz. Po-
tom nie wolno o tym zapomnieć. Jest
to nakaz sumienia, nakaz moralny.
Kto był winien? Czy tylko morderca?
Czy może wszyscy, którzy przeżyli?

jest w bibliotece mojej
taka chwila,
jak by się właśnie budził świat,
W deszcz, pogodę czy śnieżycę
idą ludzie z okolicy
a ja rada kolo pólek
wciąż uwijam się

i tak dalej w podobnym stylu. A ja
rada... no proszę, jak to ładnie. Tylko
kto będzie rad z takiego wydawnictwa
(ponoć nie ma papieru)? I kto będzie
śpiewał, może sam wydawca?

Największe odstępstwa od przyzwoi-
tego poziomu zaobserwować można w
występach estradowych na prowincji.
Nawet znane zespoły traktują swe po-
pisy poza metropolią jako wypoczynek
i obniżają loty. Wobec braku chętnych
do ciągłych wyjazdów „Estrada”
musi korzystać często z miernych ze-
spółów, które bardziej dbają o wpły-
wy kasowe niż o poziom artystyczny.
Zresztą tych zespołów też nie jest za
dużo, więc z konieczności lukki w tak
popularnej dziedzinie rozrywki, jaką
są występy estradowe, wypełniają róż-
ne amatorskie trupy, najczęściej pod
patronatem domów kultury.

Czego żądać od zespołów prowincjo-
nalnych, jeżeli nawet duże miasta nie
potrafią uchronić się w tej dziedzinie
od szmiry. Wolewódzki Dom Kultury
w Kielcach wyhodował na swej pierś
taka lipkę kulturalną, której nadano
nazwę „Yeti”. Jest to kabaret z nor-
malnymi biletami wstępu, salą tea-
tralną, nawet przerwą na papierosa.
Na występy, jeśli tak to można naz-
wać, przechodzi najchętniej młodzież
w wieku 12—16 lat i z lubością wst-
ępuje się w teksty wygłaszane ze
sceny. Za każdym wyrazem na „d”, a
słyhać go nierzadko, sala ryczy, bije
brawo. Nareszcie coś mocnego i to na
scenie!

Kluczowy numer jubileuszowego (10!)
programu rzeczonoego kabaretu stano-
wiła taka scenka:

Rozmawia dwóch młodzieńców, ty-
tułując się „panie adiuńkie”, „panie
docencie” (gdzie to tak mówią?). Dy-
skusja dotyczy poprawności języka,
obfituje w wyszukane i z trudem przez
młodzieńców wymawiane słowa. Nagle
przechodzi obok nich dziewczyna. Obaj
patrzą na nią, potem kiwają do siebie
głowami.

— Ale d...
Sala jest u szczytu radości. Podlotki
o palących policzkach biszczą z ucie-
chy, chłopcy gwizdają. Brawo, to było
znakomite!

Wśród zmanierowanych „aktorów”
wyróżnia się młodzian, eks-zawodnik
koszykówki. Cwaniackie gierki z bolską
przenosił na scenę i zbiera oklaski
młodocianych widzów, bo oni lubią
nonszalancję. Nadal pokutuje kult
„fajnego chłopca”, cwaniaka, pewnego
siebie, bez zbędnego balastu man’er
dobrego zachowania. Wobec tego mamy
już gwiazdora. Jest i piosenkarz, śpie-
wa po angielsku, po włosku. Apopleksji
można dostać słuchając tego języka,
czyżby nikt w całym WDK nie umiał

Czy w obliczu tego zła i cierpienia
wolno nam lubować się pięknem, sta-
rać się o podobanie, dobierać dźwięcz-
ne rymy? Niech poeta będzie szorstka,
zła, niech nie opiewa, niech mówi
raczej szeptem, niżby się miała mig-
drzyć i pouczać. Sprawować szeptem
wyraz ostatni. To wiele znaczyło w
tamtych latach po wyzwoleniu, w la-
tach, w których i Różewicz kształto-
wał swój surowy wiersz.

Inna jest dziś sytuacja, inni młodzi
poeci. Ale i oni z doświadczeń swojej
pierwszej młodości wynieśli podobny
głęboki uraz moralny. I w nich zostało
coś z tego kompleksu piękności, z
tego szlachetnego wyczulenia na poe-
tycki fałsz. Spór o „turpizm”, jeśli to
pojęcie ma coś znaczący, musi się prze-
nieść w sferę moralną sztuki poetyckiej,
a ta sfera jest nierozdzielnie zwi-
ązana z tzw. życiem, z obecną sy-
tuacją moralno-polityczną świata. Je-
li tak zrozumiemy istotę sporu — je-
stem, niestety, całkowicie po stronie
„turpistów”. Ciemne obrazy poetów,
rozpacz, niechęć do kłamstwa i łatwe-
go podobania się — to wartości by-
ć może negatywne w sensie estetycz-
nym, ale świadczące o tym, że skóra
na poezji jeszcze nie stwardniała, że
ma ona prawo przetrwać i posiadać
nadal zaufanie, jakim darzono zaso-
sze poezję w naszym kraju.

Anna Kamińska

po angielsku? O interpretacji lepiej nie
mówić. Dwie zgrabne panienki i nie-
zły zespół instrumentalny, to chyba
za mało, żeby występować na scenie.
W innych miastach rzeczywiście do-
bre zespoły studenckie muszą długo
pukać do różnych drzwi, zanim uzy-
skają zezwolenie na publiczne wystę-
py. Z pewnością w pewnych warun-
kach taryfa ulgowa jest konieczna, ale
absolutnie nie może ona przepuścić
szmiry.

Tych kilka przykładów niech posłu-
ży za dowód, że zagadnienie ekspansji
challury na prowincji jest obecnie bar-
dzo aktualne. Przez łatwinę, landryn-
kową ładność może ona wyprzeć ze
wsi na d’ugo kulturę istotnie wart-
ościową. Do tego nie wolno dopu-
ścić, są przecież wszelkie dane, aby
powstrzymać rozprzestrzenianie się
szmiry, aby ją powoli wyeliminować
z naszego życia. Wtedy nie takie
trudne, jeżeli potraktujemy wieś jako
równoprawnego partnera miasta.

Jacek Wojciechowski

„W I E K I” w „Interludiach”

JADWIGA KUCZYŃSKA

...brzask jutra, co z przeszłości
[na niebo wybiega
czy wiatr poczuł, wiejący
[od wieczności brzegów?

(„Stare kamienie”
F. Arnsztajnowa i J. Czechowicz)

KSIĄZKA historyczna ma swoich przy-
sięgłych czytelników, którzy w pre-
szłości usiłują doszukać się prawdy
o swoim narodzie, prawdy o człowieku w
ogóle. Pragną dowiedzieć się nie tylko
o zagadnieniach rozwoju gospodarki, poli-
tyki, sztuki czy literatury, lecz chyba
przede wszystkim chcą poznać „ludzką
feceństw. Te właśnie potrzeby wyznaczają
prawdziwy współczesny punkt widzenia na
historię i dlatego nie historyk sensu stricto
odpowiada zasadniczo tym dążeniom sz-
rokiej rzeszy czytelników, lecz literat, któ-
ry w komunikatywny technice pisarskiej
podaje anegdotę i fabułę historyczną, ula-
wiając dotarcie w przyszłości do dzieła
naukowego.

Niedawno ukazała się nakładem Państwo-
wego Wydawnictwa Lubelskiego właśnie
taka książka popularyzująca historię, sie-
gająca tym razem do najdawniejszych dzie-
jów miasta Lublina. „Wieki” Heleny Piłty
to pierwszy tom z zaplanowanego cyklu,
opatrzonego ogólnym tytułem „Interlu-
diów”.
Nazwa, sama przez się, sugeruje, czym
według zamierzenia autorki miały się stać
opowiadania: swoistego rodzaju „prze-
rywnikami” czy też „wstawkami” artysty-
cznymi. Liryčno-refleksyjnym filmem o tre-
ście historycznej, mającym za treść
fakty rzeczywiste oraz legendy wydobyte
z łamusa zapomnienia.

(Dokończenie na str. 11)

KRÓLESTWO SZMIRY

(Dokończenie ze str. 1)

pytałem znajomego rolnika, omal mnie
nie pobili.

— Panie — krzyczał — nie pójde
więcej, nie pójde! Panie, ja całą wojnę
na froncie byłem. Nie, na takie bzdury
więcej już nie będę chodził.

Założenie statych kin wiejskich
kosztowało wiele, kina objazdowe też
nie są najtańsze, ale te wszystkie zło-
tówki wpadają w błoto przez bezmyśl-
ność przy rozdziale filmów. W imię
fałszywie pojętej oszczędności ktoś tam
poleciał zedrzeć do końca stare kopie
filmów. Ktoś obejrzał je, stwierdził, że
są naiwne, i wobec tego skierował na
wieś. Niech się ludzie bawia! Ano,
bawia się, proszę łaskawego pana, w
knapie się bawia, tyle że cena wstę-
pu nieco wyższa.

Malarstwo jest z pewnością tą dzie-
dziną sztuki, której komunikatywność
nie stanowi najsilniejszego atrybutu.
Twórcy wzruszają ramionami, Ich zda-
niem wino leży po stronie odbior-
ców, którzy nie rozumieją współczes-
nej sztuki. A także tu zrozumieć co-
kolwiek nie obejrząwszy właściwie
nie. No bo proszę mi powiedzieć, ile
okazów nowoczesnego malarstwa do-

JEST to historia plotu, którego nigdy nie było. Opowiadał mi ją Henryk Nowak, wieś Woliczka, numer domu 112.

Powtarzam bez żadnych refuzów. Chowam bekony, chowam kury, szkody sąsiadom robię, a jestem w stanie zagrozić się, więc sobie pomysłowa, że nie byłoby źle mieć jaki mójucy i wysoki plot. I chodźcie od władz, że w maju dostałem koncesję i moja nalegała, że bym się wziął do roboty. Jednak się zaraz nie grodziłem, bo miałem oporządzić ziemniaki i buraki, w dodatku spadły deszcze, przeszkodziły. Kiedy skończyłem z burakami, to też nie wziąłem się do plotu i ludzie mnie nawet zaczepiali, a ja im mówiłem: nie mam czasu. — A będziesz grodził? — Będę grodził. — Tak im mówiłem.

Jednego dnia wybrałem się do Trzciany po węgiel. Zaprzęgam konia i jadę. Wreszcie czwarty dom od mojego domu stoi kupka ludzi i patrzą. W tamtym miejscu jeden człowiek nową budowę wznosił i oni stali i patrzyli. No, ale stoją — to niech stoją. Ujechałem jeszcze może jakie pięć kroków, patrząc, a tu leci z przeciwka taki młody człowiek, wstrzymuje mnie i pyta: — Pan Nowak? — Mówię: — Tak jest. — Ooo! mam tu na pana zażalenie! — Że co? — pytam. A on mi zaraz, że plot grodzię. — Panie — mówię mu — ja wcale jeszcze nie grodzię. —

lem: — Ty mi nie nie zrobisz, człowieku, dostałem koncesję i budował się będę!

Tak było wtedy, jak zacząłem budowę, a następnego dnia było już inaczej i dostałem kartkę od Bronisława Cisy, ale nie od niego, tylko od chłopca, co ma jakie czternaście lat. Spytałem tego chłopca: — Skąd to masz, tę kartkę? — Aa, Bronisław Cisko przyniósł i kazał dać. — No i w ten sposób dostałem kartkę urzędową na zatrzymanie: że mi nie wolno budować.

Poszedłem ja do budownictwa i pytam pana inżyniera nadzoru, jak to właściwie jest.

— Kazaliście mi budować, a teraz znów żęście dali na zatrzymanie?

A on mówi: — Przyszedł prezes i kazał wstrzymać, to wstrzymałem.

To ja się wykręcam do pana kierownika budownictwa, bo tam był.

— No, to co będzie dalej? — pytam.

— Komisja będzie. Musimy widzieć na miejscu, co i jak.

— Dobra, a kiedy?

— Jutro, pojutrze.

Na drugi dzień, na trzeci dzień — czekałem. Nie zobaczyłem nikogo. Tak znów poszedłem do kierownika. — Na razie — powiedział — Fugasa inżyniera nie ma i sam nie mogę. — Jakby to od niego zależało (tak powiedział), to on by zaraz przyjechał, ale inżyniera Fugasa nie ma, musi być inżynier Fu-

OGRODZENIE

KAZIMIERZ
BOSEK

To niech się pan wróci — powiada — to tę sprawę rozstrzygniemy. — Dobrze — mówię — ale na razie jadę do Trzciany, a jak pan chce, to niech poczeka, albo najlepiej załatwi o tu, na miejscu. — Pilno mu, widać, było, nie załatwił i ja pojechałem.

Ale, jak to w magazynie: ludzi pełno, furmanek i bab, trudno się dopchać i doczekać, i kiedy wróciłem do domu, to ten obywatel już odjechał. Tylko tyle, że zostawił moim dzieciom karteczkę, żeby się na drugi dzień zgłosić do prezydium, dział budownictwa powiatowego.

No, dobrze.

Na drugi dzień poszedłem. Poszedłem, ukloniłem się i pan inspektor nadzoru pokazał mi pismo od kierownika drogowego, czyli komunikacyjnego, że jest na mnie skarga. Czytałem i jakby mnie kto w łeb dzielił, albo coś takiego: wynikało, że stawiam plot na drodze, co niegdyś była wodnicą, a teraz ma być rozszerzana, i wiele innych zarzutów. Więc zaznaczyłem zaraz, że się ktoś pomylił, a może umyślnie pomotał, a już przypuszczałem, kto mógł motać i namącić. I tłumaczyłem dalej: Są przy nas (tak mówiłem) dworskie pola, to znaczy były przed sześćdziesięciu laty i ta wodnica była jeszcze za pana wodnicą, a dzisiaj jest drogą i wodnicą, woda po niej spływa i my po niej jeździmy; ale ja z żużelnym plotem na żadną wodnicę nie wlażę, bom nawet słupków do tej pory nie postawił, a tylko mówiłem, że chcę stawiać, jak mnie ludzie o to pytali.

Pan inspektor nadzoru popatrzył na te plany rozszerzenia drogi i powiedział: — Zaczekamy na pana inżyniera Lisowicza. — Bo go w tamtejszej chwili nie było.

Zaczekał.

Pan inżynier Lisowicz przyszedł, no i mówi: — Trzy metry od osi drogi ma się Nowak odstąpić i tak się ma Nowak budować. — To ja mu, że owszem, zgoda, ale jeśli chodzi o drogę, to Nowak od osi drogi odstąpił trzy metry już dawno, jak i sąsiad z przeciwka, Cisko Bronisław, też powinien odstąpić trzy metry; da się fosa na metr i będzie pięć metrów do jeżdżenia, jak diabli. Pan inspektor nadzoru zgodził się i również zgodził się na to pan kierownik budownictwa, Lisowicz, no i kazali mi budować ten plot.

Za jakieś dwa dni, a może trzy, nie, jednak za dwa dni — zacząłem się grodzić. Akurat moja patrzyła, jak to będzie z tym plotem, aż tu nagle przyszedł Bronisław Cisko z Kurzeją Józefą oraz i żona Bronisława Cisy też przysłała i od raz chcieli mierzyć, ile odstąpiłem od osi. A moja powiedziała temu Cisko: — Ty sobie mierz swoje, bo na moim to mierzył inżynier i nie masz prawa do mojej strony i na moim ogrodzie mierzyć, ja w twoje nie idę, nie chodź i ty w moje! — Tak mu jakos zwracała uwagę, a on już wołał: — Należy mi się, co mi zrobisz, mam prawo! — No — myślę sobie — jak masz prawo, to masz prawo, coż więcej będziemy gadać? — Ale rzek-

gas, musi być inżynier Lisowicz, cała komisja musi być, on sam niczego nie zrobi. Wysłuchałem tego i powiedziałem o bekona, o kurach i o plotcie i zmierzalem lekko, żeby wybać termin. „Za jakieś dwa dni najdalej”.

Czekałem dwa dni, czekałem trzy dni. I cztery dni. Nikogo. Żywego ducha, jakby powymieralo w blurach.

Znowu poszedłem i pytałem.

— A no, nie przyjeżdżamy, na razie tak się składa. Ale tam będzie droga, tam, w tej Woliczce, jest rozbudowana droga.

— No, to kto tę drogę buduje? — spytałem.

— Państwo.

— Państwo, aha! Ale właściwie kto na to pieniądze kładzie?

— Państwo. Rozumiecie, Nowak? Państwo! Tam jest pół miliona włożone na tę drogę. — Znaczą się u nas, we Woliczce.

Pomyślałem sobie: Jak państwo buduje i jest pół miliona, to nazywa się trudno, niech przyjadą.

Wreszcie, ile razy byłem — nie pamiętam. Bo byłem dużo razy, wtenczas. Chodziłem i chodziłem i zawsze tylko: przyjeździemy. A już się zaczęły roboty żniwne i człowiek nie mógł tak sobie pozwolić latać tam i nazad. Kazalem żonie pójść do inżyniera, bo mi zależało, żeby wreszcie stanął ten plot, od którego się wzięło to chodzenie. Moja poszła, a on jej powiedział, że u nas będzie droga, pół miliona państwo daje, a także dzwonił do Fugasa, Fugasa nie było — nic z tego. Wysłała moja z nerw, bo ona jest słabszego zdrowia, powiedziała, co myśli o urzędach, i że do wyższych władz udamy się, żeby wiedzieli, jak się w powiecie rządzą, i już!

Uszło trochę. Jużem się trochę rozgrzał, jak tam poszedłem następny raz. Przyjął mnie pan kierownik i tłumaczył, że sam prezes kazał zatrzymać, bo chciał przegladnąć papiery, a już się ich wtedy zbierała ładna kupka. — To jest poważna sprawa — mówił — niech sobie pan nie myśli, że to jest lada co, takie pół miliona, to jest poważna sprawa. — Ale ja już wiedziałem, że tu nie chodzi tyle o te pół miliona, co o mego sąsiada, Cisko, z przeciwnej strony. On pracuje w prezydium budownictwa, ma dostęp do wszystkiego, urabia znajomych kierowników i w ogóle nie daje mi się grodzić; mówi, rozszerzenie drogi musi być, a nie daje ze swego ani pół centymetra, choć nie tylko mnie trzeba drogi, ale trzeba wszystkim, tak czy nie?

Na trzeci dzień, we wtorek (bo tamto było w sobotę), powiedziałem sobie: nie ma co! I poszedłem do pana Rzućdły, prezesa powiatowego. Wchodzę i od razu: — Gdzie pan chce? — pyta mi się „aniienka, co przyjmuje. — Chęć do prezesa powiatowego, do niego samego. — Nie ma go, ale można czekać.

Czekam i czekam, obrobilibym w tym czasie z pół stajonka. Wreszcie patrzę — wchodzi prezes Rzućdło i wchodzi kierownik Lisowicz, razem wchodzi. Ja

KŁOPOTY Z PŁOTEM KTÓREGO NIGDY NIE BYŁO

LESZEK KOZUSZKO

ANGLICZY mają „węza morskiego” w okolicach Long Beach, Włosi afery erotyczno-kryminalne, a białostocczanie „problem studencki” czyli kawiarniany temat: studenci a środowisko. Po raz pierwszy ten białostocki „węza morski” pojawił się przed dwunastu laty, kiedy to w odrestaurowanym pięknie pałacu Branickich, Wersalu Północy, zorganizowano pierwszą w historii tego miasta wyższą uczelnię — Akademię Medyczną. Wówczas to w poszukiwaniu określeń zrozumiałego wyrazu dumy i zadowolenia z tego faktu zostało między innymi powiedziane i napisane, że „studenci rozruszają życie kulturalne i społeczne Białegostoku, będą jego twórczym fermentem” itd., itp. Później, wiadomo, cudów nie było. Żaden tam „Godot” nie przyszedł nagle, nie ołnił, nie wybuchł spontanicznym, twórczym działaniem. Miał, owszem, nawet bardzo intensywnie rozwijało się, awansowało, ale stopniowo, rok po roku, krok po kroku, jak niemal wszystko w życiu społecznym. Studenci również mieli w tym swoją niemałą zasługę, nim kolejno otrzymywali dyplomy lekarskie i ruszali „w teren”.

Ów zaś brak wyimaginowanego „Godota” zrodził, wyjątkowo szybko, białostockiego „węza morskiego” w postaci doskonałej czyli wspomniany, wielki problem „studenci a środowisko”. Od tamtych lat nie się w tej materii nie zmieniło. Przez lat dwa-ście na co pewien czas temat „studenci a środowisko” wchodził „na tapetę” raz z „wydźwiękiem”, że studenci i naukowcy są winni, iż nie można się dogadać, innym zrów razem że to wina środowiska wobec nich. I tak z trudem wznoszono „słynny mur”, by potem z rozmachem rzucić się do jego zburzenia.

Wspomniana prawidłowość przekładająca, że raz jedni, innym znów razem drudzy byli winni — istniała nie bez przyczyn. Zawsze zdarzył się jakiś wypadek traktowany przez amatorów tematu „studenci a środowisko” jako pretekst do jego podjęcia. To gdzieś tam w parku kilku rozłożonych studentów, a może i nie, lawki powywracało, to znów studenci pojechali do fabryki z odczytem oraz zespołem artystycznym i natrafili na balagan ze strony zapraszających ich organizatorów imprezy. Każdy podobny przypadek, każde nawet luźne zdanie studenta, naukowca z Akademii

wstają z tego krzesła, tak się patrzę miłośnicznie na prezesa, prezesa na mnie, i mówię: — O tę drogę mi chodzi, prezesie, tego plotu nie dają mi grodzić. — Ja was tu — powiada prezes — już widziałem, jużście chodzili do prezydium. — No, tak — odpowiadam — chodziłem i chodzę, i nie załatwiłem do dziś dnia, i przyszedłem do prezesa. — No, widzicie, Nowak — powiedział mi wtedy: Nowak, już mnie znał. — No widzicie, ja nie mogę przymusić kierownika. — To gdzie wobec tego mam robić zażalenie? — A on mówi: — Do prezydium: — To ja mówię: — Do prezydium, to znaczy do was, tak? — No tak — mówi — ale ja dzisiaj nie mam czasu, naprawdę nie mam czasu. — I zawołał zastępcę prezesa, Kaszubę, poszli omawiać jakieś sprawy. A ja się jeszcze kręczę, jeszcze się wierzę, narazie wchodzi znów kierownik Lisowicz. Moje akta już trzyma w ręce, jak adwokat, i wchodzi. Wchodzi i tak nic miało kręcić się koło drzwi, tam gdzie prezes urzęduje, potem puka i z daleka wyjaśnia o co chodzi. A prezes odpowiada: — Jutro. — I pan kierownik Lisowicz do mnie: — Słyszysz Nowak? — Ja mówię: — Słyszę. — I tak sobie śmiało poszedł już do swojego biura, a ja się poogładałem i pomyślałem: wnet trzeba wracać.

Zapytałem: — I co teraz?

— Teraz jest wrzesień. Stoją w betonie trzy słupy żelazne, a ja noszę w kieszeni to pozwolenie i to zatrzymanie, i sam już nie wiem, kto tu z nas robi ogrodzenie i jakie.

Rzeszów

Medycznej albo też takiej zdanie przedstawiciela „środowiska” na temat Akademii było nierzadym pretekstem do krótkotrwałej najczęściej burzy w szklance wody. Po prostu nie wyobrażam sobie naszego miasta bez tego tematu. Gdy się długo na ten temat nie mówi, nie pisze, to się cni człowiekowi, czuje się brak czegoś, do czego od lat nawykło. Podobnie chyba czują i inni, bo słowo daje, wybaczenie, że się przechrwałam, przechrwałam, że tej jesieni problem „studenci a środowisko” znowu wypłył. Nawet zbierałem materiał do jego podjęcia, tylko widać z powodu nawyku do studenckich spraw nie mogłem dostrzec nowego pretekstu. Tak jak od lat, ZSP i ZMS Białostockiej Akademii Medycznej bawią się w jakieś dziwaczne konflikty, wyniki z ambicjami aktywistów jednej i drugiej organizacji. Tak jak od lat, ZMW zabiera się z rozmachem do działania, by później, podobnie jak ZMS i ZSP przyćmiewać, tłumacząc się owym groźnym słowem „egzamin”! Tak jak w poprzednich latach, jesienią rodzi się tam kilka skłóconych ze sobą zespołów artystycznych lub innych inicjatyw. Natrafiają one na takie lub inne trudności i nie wszystkie z walki wychodzą zwycięsko. I chyba tego roku również tylko niektóre z poczynań zostaną zrealizowane, tylko niektóre z istniejących zespołów zaprezentują lepszy lub gorszy program. Tak jak dawniej, wieczorki taneczne studentów w Klubie Medyka „Herkulesy” i Klubie Studenckim „Co nie co” niczym się nie różnią od studenckich wieczorków tanecznych na całym świecie. Są miłe lub mniej, zależnie od nastroju i samopoczucia konkretnego ich uczestnika. A także, tak jak przed laty, na spotkania i odczyty, nierzadko nawet bardzo interesujące, przychodzi po kilku lub po kilkunastu studentów, bo reszta podobno nie ma czasu (!). Dla dodania swoistego smaczku felietonowi przypomnę, że odbywało się niedawno w Białostockiej Akademii Medycznej spotkanie z Wiceministrem, które jak zwykle studenci zignorowali. Również jak zwykle ściągnięto w ostatniej chwili uczennice z internatu szkoły laborantek, by uniknąć kompromitacji przed Ministrem. No, ale nie zawsze zaprasza się na spotkanie ze studentami ministra i nie zawsze trzeba obawiać się kompromitacji.

Nienowe jest także tłumaczenie się studentów wobec ciągłego zarzutu dotyczącego niechęci w poczynaniach zespołów artystycznych, a nawet i innych inicjatywach społecznych i kulturalnych. Ci którzy powinni brać udział w tych poczynaniach, a nie chcą, wymyślają „tajemnicze” historie o tym, jak to profesorowie niechętnie widzą tego rodzaju zaangażowaną pracę społeczną studentów. Jako przykład od lat mówię, że któryś z profesorów egzaminując nieprzygotowanego studenta powiedział ponoć: a na zespoły artystyczne to czas masz!

Nie zdążyłem pierwszy podjąć tej jesieni owego tradycyjnego tematu. Zdążył „Efel” zaczynając swój felieton w „Gazecie Białostockiej” od cytowania Gałczyńskiego, któremu rzekło się raz kiedyś, że „żywy student to jest kłopot dziki”. I ze sprytem dobrego felietonisty zacytował tradycyjne poglądy z jednej i drugiej strony owego, jak powiedział, „plotu”, który ponoć odgradza miasto od studentów. Dojął, do tego kilka faktów z życia i wysłał całość, którą „lekkko się czyta”. Po nim zaraz napisano, że „rasze działanie na zewnątrz jest jeszcze stanowczo za małe” oraz że „Działalność wychowawczą winny prowadzić również pozostałe organizacje, takie jak ZMW, AZS i inne” — jakby tego ktoś jeszcze nie wiedział.

„Białostocczanin” w trzecim kolejnym numerze „Gazety Białostockiej” wyraził poglądy tych, którzy od lat lubią besztuć studentów i oskarżać ich o niechęć do społecznego działania. Gdyby nie swada, bogactwo słownictwa i porównań łatwiej by było zauważyć, że powtórzył on idealnie wszystko to, co przez lat dwanaście niemal mówiło się i pisało na temat „plotu” odgradzającego ponoć studentów od miasta.

No cóż, obywatelu, kto następny? Rozwalajmy „mur” czy też „plot” między miastem a Akademią Medyczną w Białymstoku, który sami wymyśliliśmy. Bo moim skromnym zdaniem, takiego „muru” ani też „plotu” właściwie nie ma. Został po prostu wymyślony chyba li tylko po to, by po latach „Białostocczanin” mógł gromko zawołać: „Mamy więc białostockie środowisko akademickie czy go nie mamy?” Innego celu wymyślenia owego plotu jakoś nie widzę. Od czasu do czasu uda się studentom Białostockiej Akademii Medycznej za-

(Dokończenie na str. 15)

Świecki święty

„Nikomiu nie życzę zła” — pisał w pamiętniku, kiedy już poznał grozę zawiścią nad jego dziećmi, kiedy sam doświadczył zniewag i upokorzeń w więzieniu na Pawiaku. „Ludzie są dobrzy” — zatytułował jedną z swych ostatnich rzeczy opublikowanych przed katastrofą wrześniową, kiedy jeszcze nie wiedział, w jakim stopniu ostatnia wojna miała wyzwolić w człowieku szatana.

Mogłem mieć chyba dziewięć, najwyżej dziesięć lat, kiedy moja dziecięca biblioteczka powiększyła się o dwie książki przedstawiające pobyt ubogich dzieci warszawskich na koloniach letnich. „Moški, Joski i Srule” — bawił mnie tytuł jednej z nich, bo znałem dzieci żydowskie o podobnych imionach z naszego podwórka i dziwiło mnie, że można o nich napisać aż książkę. A wydała mi się ciekawsza od drugiej, mającej też w tytule imiona, ale bardziej swojskie „Józki, Jaśki, Franki”. Tyle było w tych powieściach dobroci, tyle współczucia dla biedoty z wielkomięjskich suterren, dla dzieci spragnionych słońca, powietrza i kwiatów.

Synek mój rozczytywał się już w innych książkach tego samego autora. Zresztą i rodzice jego już na parę lat przedtem z zachwytem i wzruszeniem śledzili losy króla Maciusia I, reformatora — dziecka. Dziś wnuczka moja ma obie książki Maciusiowe w pięknym wydaniu z barwnymi ilustracjami. Już trzecie pokolenie karmi się dziełami tego pisarza.

W ciche wieczory do uszu mych zaopatrzonych w słuchawki docierał przez fale radiowe szlachetny głos Staroego Doktora, wychowawcy nie tylko dzieci, ale i dorosłych.

W dziale poetyckim swej biblioteki mam małą książeczkę, której treść wzrusza mnie i dzisiaj, jak wzruszała przed czterdziestu laty, kiedy się ukazała w druku. W dziale poetyckim, choć otwarta na którejkolwiek stronie graficznie wygląda jak zwykła proza. Ile w niej mądrości, uczucia

i piękna! To pisarz, „Sam na sam z Bogiem”, wypowiada modlitwy tych, „którzy się nigdy nie modlą”. A jaka szeroka rozpiętość w treści i nastroju tych modlitw: radości, swawoli, buntu, zadumy czy smutku, tych modlitw matki, dziecka czy starca, uczonego czy artysty. „Pięknym powietrze; zdrowie Twoje, Boże! (...) Prawdą jest, że mam serce. Prawdą moja myśl i kwiat wiosny. Prawdą jest, że zanuce, że — krzyknę (...) Zdrowie Twoje, prado!” A obok tego: „Cicho, smutno, na czarnej fali trumna się kotłuje. Czarna rosa z czarnych kwiatów czarne pią motyle. Nigdy człowiek nie zaśpiewa, dziecko się już nie uśmiecha, pękł ostatni dzwon, wszystkie na świecie stanęły zegary, ostatnia rozpadła się wieża, wczoraj ostatnia zgasła gwiazda — komu ma świecić? Nie ma, nie ma, Boże, nie ma nic”. Matka się modli: „Dzieci, bądź szczęśliwe (...) Daj mi szczęście, Boże, by nie użaliło się, żeśmy mu życie dali...” A dziecko: „Boże, Zosia zrobiła siusiu. — Zosia brzydka, Zosia siusiu. — Mamusia gniewa Zosię. — Brzydka, brzydka dziewczyna. — Mamusia bije. — Brzydka mamusia. Nie bij. — Nie bij, mamusiu! — Nie bij Zosi. — Rączka boli. Boję — boję. — Boli rączka, Boziu...” A starzec: „Panie Boże, Sędzio sprawiedliwy, szkoda mi życia, tej reszty jego dogasających: ciepła i radości. Drobnie starcze kroki, długo żuję pokarmy, cicho mówię, zwolna krew krąży w żyłach — może na dłuższą starczy? A tak miło spoglądać na zieleni i słońce: takie wszystko wokół głębokie i pełne, ważne i mądre. Słońce i zieleni — czyż rozumieją młodzie?”

Te piękne modlitwy zadedykował autor rodzicom — jako „Mały nagrobek” dla nich. A dedykację kończy proroczym zdaniem: „Dziękuję, żeście nauczyli słyszeć szepot zmarłych i żywych, dziękuję, że poznam tajemnicę życia w pięknej godzinie śmierci”.

W Panteonie naszych wielkości, którzy stali kiedyś w stolicy, obok nazwisk wodzów, rewolucjonistów, uczonych i twórców złotymi literami napisane będzie i imię tego, co ukochał ponad wszystko dzieci, do ostatniej chwili ich nie opuścił i dobrowolnie najokrutniejszą śmierć wraz z nimi poniósł — „w pięknej godzinie śmierci” — imię Janusza Korczaka.

X. Rovay

„DEUTSCHLAND“ I WNIOSKI

LUDMIŁA TOKARSKA

W WITRYNACH wszystkich większych księgarni w Kopenhadze eksponowany jest pięknie wydany album „Deutschland”*. Książka ta dostępna też jest we wszystkich bibliotekach kopenhaskich. Nie dzieje się to dlatego, że Duńczycy darzą specjalną sympatią rewizjonistów niemieckich — wprost przeciwnie bowiem żywią do nich uczucia. Kiedy przed paroma miesiącami do portu w Kopenhadze przybyły dwa okręty „Kriegsmarine”, musiał ich strzec przed wzburzonym tłumem liczny oddział policji. Po prostu w Danii, która jest krajem „na ogół neutralnym”, wszystko jest reklamowane w jednaki sposób. Obok owego albumu „Deutschland” eksponuje się albumy „Moskwa” i „Leningrad”. Biura turystyczne tak samo interesująco reklamują wycieczki do Związku Radzieckiego, jak i spędzenie urlopu na Rivierze francuskiej. (N. b. wycieczka do Moskwy i Leningradu trwa 13 dni i kosztuje 1.545 koron duńskich).

Trzeba na wstępie zaznaczyć, że książka ta nie jest agitacyjną ulotką rewizjonistów niemieckich. Nie ma w niej ani jednego słowa na temat programu politycznego rządu Adenauera, hasel związków ziomkowskich itp. Ma ona charakter krajoznawczy i składa się właściwie z ogromnej ilości kolorowych fotografii różnych regionów Vaterlandu uzupełnionych komentarzem. Komentarz podaje informacje geograficzne, klimatyczne i historyczne. Jakież więc są te regiony „niemieckiej ojczyzny”? Gdyby ktoś był całkowicie nieświadomy zdarzeń historycznych, jakie zaszły po II wojnie światowej, dowiedziałby się z tej książki, że Deutschland, to kraj jednolity, ciągnący się od Renu i Alp po Górny

Śląsk i Zatokę Gdańską. Dołączona do albumu mapa wyraźnie ukazuje granice Niemiec — oczywiście granice Wielkiej Rzeszy: regiony wschodnie to „Schlesien”, „Pommern” i „Ostpreussen”.

Jest więc Breslau, Liegnitz, Hirschberg, Oppeln, Gleiwitz, Glogau, dalej Stettin, Kolberg, Danzig. W komentarzu pisze się: „Ślązacy są osadnikami przybyłymi z środkowych, zachodnich i południowych, rdzennie niemieckich ziem... Mieszkańcy Turynii, Frankonii, Hesji, Tyrolczycy i Szwajcarowie od XII wieku tłumnie napływali do tego urodzajnego kraju, który do czasów tej wędrowki ludów był prawie nie zamieszkały. Przynieśli oni do nowego kraju swoje czyste narzędzie i swój rodowy charakter (ihren heimatlichen Dialekt und ihr angestammtes Wesen). Nędzni pasterze, którzy się tu osiedlili przed przybyciem Germanów, byli Słowianami (die armseligen Hirten... waren Slawen). Słowian było nie więcej niż 20.000”. (Tłum. moje).

Pomorze, Warmia, Mazury są komentowane podobnie. Do ciekawostek można zaliczyć fotografie ogromnego pomnika krzyżackiego w Tannenbergu (zburzonego zresztą w czasie ostatniej wojny — o czym się w albumie nie pisze) i napis: „Pięć wieków temu w 1410 r. wojska Zakonu Niemieckiego stoczyły tu bitwę z Polakami i Litwinami”. Oczywiście o pogromie Krzyżaków pod Grunwaldem nie ma ani słowa. Charakterystyczna dla omawianych spraw jest też fotografia gdańskiej Starówki z komentarzem, który podaje, że została ona zniszczona w czasie ostatniej wojny i że „wiele zabytków miasta zostało odbudowanych... jak wskazuje ilustracja”. Fotografia Starówki jest oczywiście jak najbardziej współczesna, nawet z naszą polską „Warszawą”. Lakoniczny i bezosobowy tekst pod fotografią do-

JAN BOLESŁAW OŻÓG

Na pół godziny przed zachodem

Nadzieja

W czas, gdy się jaśmin mi tak marzy, jak na niesporach jedno „Alma”, goździka koń czerwoniady rzy i pod żebrzem rana się otwiera, co było pogaszone, świeci jak lilii wóń na fali gradu, już tylko słońce poprzez drzewa nisko trwa, krwawe w blaskach

[twarzy,

przeróżające jak Marzanna, kiedy się zjawia z kosą we łzach, naga i tak niewinna, że w nieobrosłe dżiką różą lono całuje ją pan młody jak panią młodą — wciąż dziewczynę do końca święta ślubu.

Tak kosą ścina łąki biała panna.

Mnie tylko jabłka rosą Z nagrobnych drzew ementarzy. Mnie odbierali z rąk wśród tańca majową u czeresien wiosną dziewczęta najpiękniejsze na stogi w noc i oddawali przed świtem

Mnie czarnym liściem obrósł kien. Jak on ja w śnie. Jeszcześmy w śnie ci sami.

Nadzieja, że nie skończy się u oka strumyk lzy — to czasami to co mi spać zabrania.

Nadzieja mi tak bywa matką opierającą nas, czy upadającą wprost z przeparcowania.

W podlaskim miasteczku

JERZY SROKA

NIE TAK dawno, bo w 1954 roku, bywały takie dni, kiedy to puste dorożki konne (kurs 20 zł) zawracały na podjeździe dworcowym kierując się w stronę odległego o 2 km centrum miasteczka. — Dzisiaj letka kawaleria — mawiali wówczas z pogardą mistrzowie jeździe i bata na widok ludzi, którzy wysiedli z pociągu i „per pedes” podążali ulicami Kolejową i Stacyjną. Ruch w dorożkarskim interesie zaczynał się dopiero na kilka dni

skonałe jednak może sugerować niemieckiego gospodarza w dzisiejszym Gdańsku, i to, że odbudowa tego miasta jest dziełem niemieckiego państwa. I jeszcze jedna charakterystyczna ciekawostka. Wśród sławnych ludzi „Prus Wschodnich” wymieniony jest oczywiście „der berühmte deutsche Astronom, Nikolaus Kopernikus”.

Tyle jeśli chodzi o treść albumu. Wydaje mi się, że komentarze moje byłyby stawianiem przysłowiowej kropki nad i. Jedną tylko rzeczą jest warta podkreślenia. Album „Deutschland” ma spełnić swoją nacjonalistyczną rolę nie tylko wśród Niemców. Jest on głównie przeznaczony na eksport i rozchodzi się prawdopodobnie po wszystkich krajach Europy zachodniej i Ameryki, szerząc fałszywą wiedzę o Niemczech i rozpowszechniając rewizjonistyczne poglądy. Oczywiście to jest tylko jedna publikacja tego typu spośród wielu, jakimi są zarzucone rynki zachodnioeuropejskie. Wydawnictwa NRF są pod tym względem bardzo aktywne i starają się o wydawnictwo bardzo wielu najróżnorodniejszych książek, które sławiłyby potęgę Trzeciej Rzeszy i podkreślały prawo Niemiec do granic sprzed roku 1939.

Nasuwa się tu pytanie, co czytelnik zachodnioeuropejski dostaje np. od Polski, aby zrównoważyć swoją wiedzę o tym kraju? Otóż śmiesznie twierdzić, że nie albo prawie nie. Nasze wydawnictwa są pod tym względem bardzo niefrasobliwe. W Danii, w Głównej Bibliotece w Kopenhadze, która gromadzi wszystko, cokolwiek ukazuje się na rynkach europejskich, nie spotkałam ani jednej książki czy też albumu o Polsce przeznaczzonego dla cudzoziemców. Książki, z której czytelnik mógłby zaczerpnąć prawdziwą wiedzę o naszym kraju, o jego regionach, pięknie, historii, oczywiście książki napisanej w językach dostępnych cudzoziemcom z Zachodu (angielskim, niemieckim, francuskim). Małutki albumik „Kraków” czy „Warszawa” wcale nie załatwia tej sprawy. Wydaje mi się, że chociażby z okazji Milenium zachodnioeuropejskie rynki księgarskie powinny mieć pod dostatkiem wydawnictw o naszym kraju. Sprawa jest bardzo ważna, tym więcej, że w większości wypadków wiedzę o Polsce kształtują różne wydawnictwa polskiej emigracji politycznej, przeważnie londyńskiej.

Rzeszów

przed tradycyjnymi świętami. Kończył się z chwilą, kiedy ostatni świąteczni goście opuszczali zaśmiecony i brudny dworzec w Białej Podlaskiej.

Podczas tradycyjnych już dorocznych odwiedzin miasteczko nabierało sztucznych, gorączkowych rumieńców życia. Na ulicach pośród odrapanych, czynszowych kamieniczek i drewnianych domków panował gwar i ruch. Plac Wolności — centrum miasteczka — wypełniał się tubylcami i przybyszami z całego kraju. Pyszniły się eleganckie, wielkomięjskie ubiory, migły różnobarwne studenckie czapki. Tworzyły się grupki, grupy i towarzyskie kółeczka. Witano głośnymi okrzykami dawno nie widzianych przyjaciół, krewnych i znajomych. Mieszkańcy miasteczka emocjonowali się plotkami, wiadomościami ze stolicy czy większych miast. Stuchali i chłonili z ciekawością wszystko to, co opowiadali z ożywieniem świąteczni goście, którzy przed paru zaledwie laty byli także mieszkańcami tak pogardzanej teraz „prowinjonalnej dziury”. Oni to właśnie bardziej przedsiębiorczy i energiczni w latach 1945—49 i później opuszczali dość licznie swe rodzinne miasteczko, udając się tam, gdzie rozciągały się perspektywy innego, bardziej interesującego życia. Ze „nano ich wtedy różnie; z niepokojem, życzliwością czy uśmiechem politowania... Teraz spoglądano na nich z zazdrością, ciekawie. — Szczęśliwcy. Nie zginęli w tym szerokim, nieznanym świecie. Jakoś się urządzili, zagospodarowali, zdobyli społeczną pozycję. Z miasteczka wyjeżdżała przede wszystkim młodzież, dobijająca się tłumnie do bram wyższych uczelni w różnych ośrodkach akademickich kraju, najchętniej oczywiście w stolicy. Po skończonych studiach pozostawali już tam na stałe. Wracali do Białej, na prowincję? Po co?

Kiedy ostatni świąteczny gość opuszczał Białą, razem z nim zniknęło podniecenie, ożywienie, gwar i ruch. Życie w miasteczku poczynało toczyć się znów monotonnym, jednostajnym trybem. Płynęły dni szare, bezbarwne, pełne martwoży i nudy. Wyczekiwano nie wiadomo na co, pograżając się w coraz większym marazmie. Powoli jednak w świadomości niektórych mieszkańców miasteczka dojrzała myśl, że życie w Białej Podlaskiej i jej podobnych miasteczkach wówczas toczyło się będzie wartkim nurtem, gdy rozpocznie się działanie. Należało więc dokonać wyboru: albo marazm i nuda, albo lepsze, pełniejsze, intensywniejsze życie. Wybrano to drugie. Rozpoczęło się społeczne działanie.

Dzisiaj na podjeździe kolejowego dworca wita podróżnych kolorowy szpaler dorożek samochodowych i autobus. Pocziwi „sałaciarze”, narzekający kiedyś na „letką kawalerię”, nie wytrzymali konkurencji z motoryzacją. W ciągu niespełna pięciu minionych lat Biała Podlaska zmieniła się w jeden wielki plac budowy. W dzielnicę robotniczej Wola powstało nowe, składające się z kilkudziesięciu bloków osiedle mieszkaniowe, z wspaniałą, nowoczesnie urządzonego szkoła podstawowa, przedszkolem, estetycznymi sklepami, apteką. Osiedle rozrasta się i w niedalekiej przyszłości będzie jedną z ładniejszych i okazalszych dzielnic już nie miasteczka, lecz miasta. Trudno bowiem teraz nazywać liczącą ponad 21 tys. mieszkańców Białą, czwarte co do wielkości miasto powiatowe Lubelszczyzny — miasteczkiem.

Na Woli zbudowany zostanie nowoczesny pawilon handlowy i przychod-

(Dokończenie na str. 10)

* „Deutschland”. C. Bertelsmann Verlag. Gütersloh 1960.

OSTATNIO zaczyna zjawiać się na łamach pism społeczno-kulturalnych problem domów kultury. Redakcja „Polityki” przeprowadziła w tej sprawie dyskusję i rozpoczęła publikowanie cyklu artykułów dotyczących „400 domów”. Tytuł bowiem domów kultury zarejestrowały statystyki w początku bieżącego roku. W artykułach mówi się, że jest to liczba raczej orientacyjna, gdyż ciągle powstają w kraju nowe placówki. Potwierdzeniem tego twierdzenia jest chociażby województwo lubelskie, gdzie odnotowano w drugim półroczu br. powstanie pięciu nowych domów kultury (dwa powiatowe i 3 wiejskie). W roku przyszłym zostaną otwarte dwa nowe powiatowe domy kultury (w Zamościu i Tomaszowie). Ciągły wzrost budowanych w dużej mierze w czynnie społecznym powiatowych, miejskich i wiejskich domów kultury wskazuje na społeczną rangę tego rodzaju placówek. To chyba tłumaczy skupienie uwagi poważnych pism na problemie domów kultury. Domom kultury, zwłaszcza powiatowym, wyznacza się niepoślednie zadanie odpowiedzialności za całokształt życia kulturalnego powiatu. Postuluje się, by placówki te przestały być tylko gospodami dla „ubogich duchem”, ale skupiały przede wszystkim inteligencję z terenu powiatu i poprzez nią oddziaływały na szersze kręgi społeczne. Postulaty to bardzo słuszne, ale realizacja ich w dużej mierze jest w chwili obecnej, skromnie mówiąc, problematyczna. Składa się na to kilka przyczyn. Na niektóre z nich publicyści zwracają uwagę, ale o najważniejszy bodajże problem jeszcze nikt poważnie nie zabaczył. Mam na myśli sprawę kadr. Powiatowym domom kultury, jak już wspominałem, stawia się zadanie wpływania i współpracy z inteligencją (tj. z ludźmi z wyższym wykształceniem), ale zapomina się, że zaledwie parę procent kierowników i instruktorów PDK posiada wyższe studia. Reszta — to ludzie ze średnim i niepełnym średnim wykształceniem. Nie ma bowiem w kraju na żadnej uczelni wydziału, ani sekcji przygotowującej do zawodu kulturalno-oświatowego. „Kaowiec” (tak wstrętna nazwa przypisana została do tego zawodu) — to człowiek przyuczony do pracy poprzez podglądanie cudzych, nie zawsze najlepszych umiejętności, oraz posiadający tzw. „własną praktykę”. Wiadomości te pracownik kulturalno-oświatowy uzupełnia na seminarjach, czasem na kursach, rzadziej drogą samokształcenia. Pow-

W SPRAWIE 400 DOMÓW

JÓZEF ZIĘBA

szechnie uważa się, że jest to w porządku, chociaż czasem rozlega się głos wyrażający z tego powodu pewne zaniepokojenie. Zaniepokojenia te wskazują na istnienie problemu nie usiłując jednak znaleźć możliwości jego rozwiązania. Przyczynę tego należy upatrywać w dużym skomplikowaniu zagadnienia. A skomplikowanie to wynika z niedookreślenia funkcji i zadań placówek kulturalno-oświatowych. Ramowe statuty opracowane przez Ministerstwo Kultury i Sztuki dla PDK i WDK operują pojęciami tak ogólnymi, że trudno je jednoznacznie zinterpretować. Praktyka wykazuje, że interpretuje się je bardzo różnorodnie, co z kolei wpływa na duże urozmaicenie organizacji pracy poszczególnych placówek noszących to samo miano. Przyczynia się do tego jeszcze ciągle poszukiwanie przez placówki nowych, atrakcyjnych form pracy, które by odpowiadały gustom pracowników lub uczestników domów kultury. Ponadto nad placówkami kulturalno-oświatowymi ciąży pojawiający się co pewien czas dylemat: „być, albo nie być”. Nieraz wystarczy jeden artykuł, aby mocno zatrzęść podstawami tych placówek (przypomnijmy sobie np. historyczne skutki artykułu K. Koźniewskiego pod znanym tytułem: „Precz ze świetlicami!”). Niestabilność i niedookreślenie placówek kulturalno-oświatowych sypcha je na margines zainteresowania poważnych pracowników nauki. W takiej sytuacji trudno spodziewać się konstruktywnych wniosków dotyczących systematycznego kształcenia wysoko kwalifikowanych fachowców dla placówek kulturalno-oświatowych. Brak takich propozycji i prób wprowadzenia ich w życie zaostrza coraz bardziej problem kadr. Wymieniana w artykułach liczba czterystu domów — to zaledwie część placówek kulturalno-oświatowych. Co najmniej drugie tyle istnieje na terenie kraju — klubów. Ponadto utrzymuje się nadal pożądana ilość świetlic. Wszystkie te placówki wymagają wysoko kwalifikowanej kadry pracowników, by móc normalnie się rozwijać. W chwili obecnej, gdyby dobrze sprawdzić umiejętności i kwalifikacje wszyst-

kich ludzi zatrudnionych w tego rodzaju placówkach, uzyskaloby się w kraju ze dwa tysiące stanowisk do obsady. Wiele tych stanowisk z braku odpowiednich kadr w chwili obecnej w ogóle nie jest obsadzonych. Niestety, żadnego źródła dopływu nowych wysoko kwalifikowanych kadr kulturalnych w kraju nie ma. Do placówek trafiają więc jedynie odpryski od różnych grup zawodowych. Duża ilość nowych pracowników traktuje pracę w placówce k.o. tylko dorywczo, stąd wielka płynność kadr. Nie trzeba udowadniać jak bardzo taki stan rzeczy jest społecznie szkodliwy. Placówki nie mogą głównie z powodu braku odpowiednich ludzi spełniać postawionych przed nimi zadań, a przecież na cele upowszechniania kultury w skali województwa i kraju łożą się ciągle duże sumy pieniędzy, które dzięki nieporadności ludzi dysponujących tymi pieniędzmi w dużej mierze idą w błoto. Prosty rachunek wskazuje, że o tych 400 domów kultury, gdy przyjmie się skromnie 220 tysięcy złotych rocznego budżetu (według danych zamieszczonych w „Polityce”, w rzeczywistości przeciętna ta jest chyba wyższa), zużywa sumę 88 milionów rocznie. Co najmniej dwa razy tyle trzeba dołożyć na inne placówki. Wiadomo, że nie stać nas na taką rozrzutność. Z doświadczenia wiemy, że nie wolno skądinąd wysuwać łatwych propozycji likwidatorskich, bo przeciwność się jedno z ważnych ogniw życia społecznego. Wyjście jest jedno: przygotować do pracy w placówkach kulturalno-oświatowych takich ludzi, którzy by zapewnił wykorzystanie właściwie łożonych środków, wnosiliby świeżą, twórczą myśl do działalności społeczno-kulturalnej. Uporanie się z tym zagadnieniem jest niewątpliwie koniecznością niezmiernie palącą, gdyż z jednej strony dopomina się tego rozwój życia społecznego, z drugiej zaś — stajemy się obiektem zainteresowania Zachodu, gdzie (zwłaszcza we Francji) myśli się o tworzeniu na nasz wzór domów kultury! Wylania się więc pytanie, czy w

chwili obecnej istnieje szansa powołania na jakimś uniwersytecie chociażby sekcji przygotowującej pracowników kultury? Następne pytanie: przy jakim wydziale taką sekcję umieścić? Niewątpliwie powołanie sekcji — to nie tylko jakiś tam akt prawny (choć i z tym może być wiele trudności), ale przede wszystkim masa pracy związanej z przygotowaniem odpowiedniego programu i znalezieniem wykładowców. Wylania się też troska o dodatkowe fundusze dla tego rodzaju przedsięwzięcia. Właśnie fundusze, o to może rozbić się cały problem, gdyż obowiązkiem jest zawsze rozsądnego oszczędzania — potrafi wszystko przekreślić. W tym wypadku „oszczędność” może okazać się po prostu nieekonomiczną. Nie znam się na kalkulacjach kategorieści w wyższych uczelniach, ale wydaje mi się, że za jakieś dwa, trzy miliony złotych rocznie, można taką sekcję uruchomić. Według moich szacunkowych obliczeń jest to mniej niż jeden procent wydatków przeznaczonych rocznie w kraju na placówki kulturalno-oświatowe. Ile spośród nich ze względu na nieodpowiednie warunki lokalowe i nieudolność ludzi odpowiedzialnych za ich funkcjonowanie można by z powodzeniem i bez szkody na jakiś czas po prostu zamknąć? Zresztą nie trzeba się odwoływać do tak drastycznych metod, wystarczy poszukać pieniędzy na różnych kontach w jednym województwie, a pieniądze się znajdą. Trzeba tylko trochę energii i dobrej woli. Co do ułożenia odpowiedniego programu, to program taki można opracować wspólnie z pracownikami nauki i praktykami działalności kulturalno-oświatowej. Pozostaje pytanie, przy jakim wydziale i uniwersytecie taką sekcję otworzyć. Bez wątpienia musi to być jedna z sekcji pedagogiki. Zapotrzebowanie na tego rodzaju wysoko kwalifikowanych pracowników jest tak duże, że właściwie, gdyby się otworzyło taką sekcję przy każdym wydziale pedagogiki w kraju, to też nie byłoby za wiele. Jednak wysuwanie takiego postulatu byłoby w chwili obecnej oczywiście nieco nierozsądne. Musi znaleźć się najpierw jedna z uczelni, która zechce podjąć ryzyko. Nie tylko przez patriotyzm lokalny myślę, że mógłby się podjąć tego zadania Wydział Pedagogiki UMCS. Właśnie ma on już poza sobą udany eksperyment zamojski, widać więc, że stać tę uczelnię na podejmowanie śmiałych kroków organizacyjnych. Może należałoby rozszerzyć tę sprawę najpierw w węższym zakresie, dla sąsiadujących i współpracujących ze sobą czterech województw. Tu potrzeba kadr kulturalno-oświatowych są szczególnie dotkliwie. Sądzę, że województwa te mogłyby nawet własnym kosztem taką sekcję utrzymać, bez odwoływania się do kiesi ministerstw (jeśli ta kiesza rzeczywiście jest pusta). Jednak ważność zagadnienia dla ruchu kulturalno-oświatowego w całym kraju na pewno zainteresuje próbą podjęcia takiej inicjatywy Ministerstwo Kultury i Sztuki, Szkolnictwa Wyższego oraz CRZZ. Należy tu dodać, że odwołanie realizacji tego przedsięwzięcia byłoby bardzo ze społecznego punktu widzenia szkodliwe. Pierwsi absolwenci utworzonej w przyszłym roku sekcji otrzymają dyplomy magisterskie gdzieś około 1970 roku. Do tego czasu powstanie duża ilość nowych placówek, zadania ich jeszcze bardziej wzrosną. Ponadto przy takiej sekcji należałoby utworzyć studium zaoczne, dla ludzi zatrudnionych obecnie w domach kultury. Również trzeba stworzyć dogodne warunki dla magistrów chcących otworzyć przewód doktorski na temat związany z pracą placówek kulturalno-oświatowych. Naprawdę sprawa jest jak najbardziej warta zachodu, gdyż w formujących się nowych stosunkach społecznych w ustroju socjalistycznym instytucja domu kultury nabiera specjalnego znaczenia. Tu bowiem będzie miejsce na powstawanie inicjatyw społecznych, na kształtowanie poglądów, na zbliżanie do najnowszych problemów nauki i sztuki oraz na własną (niekoniecznie artystyczną) twórczość. Ranga społeczna wszelkiego rodzaju placówek k.o. jeszcze bardziej wzrosła w związku z rozszerzeniem się marginesu wolnego czasu pracowników. Wiadomo, że rozwiązanie problemu wolnego czasu ludzi pracy — to główne zadanie placówek kulturalno-oświatowych. Bez odpowiedniego przygotowania kadr domy kultury, kluby i świetlice tego trudnego zadania społecznego nie rozwiążą. Należy już teraz problem ten poważnie ocenić i wyciągnąć zń konkretne wnioski.

LUBELSKIE WYSTAWY PLASTYKI



DNIA 6.XII została otwarta wystawa okręgowa ZPAP w Lublinie: 84 prace — 42 wystawiających. Wystawa daje ciekawy przekrój twórczości środowiska plastycznego za ostatnie półroczje br. przynosząc wystąpienie wielu młodych artystów, którzy po raz pierwszy prezentują swoje prace na wystawach okręgowych. Wśród gości na otwarciu obecni byli: wiceminister kultury i sztuki Zygmunt Garstecki, wiceprzewodniczący Prezydium WRN Bolesław Nazimek, kierownik Wydziału Kultury Prezydium WRN Edward Nadulski. Wystawę odwiedził również bawiący w Lublinie zastępca kierownika Wydziału Kultury KC PZPR tow. Michał Makuch oraz dyrektor Departamentu Ministerstwa Kultury i Sztuki Czesław Kałużny. Wydany z okazji wystawy katalog zawiera wstęp kierownika Wydziału Kultury PWRN Edwarda Nadulskiego oraz art.-plast. Henryka Zwolakiewicza i jest bogato ilustrowany reprodukcjami wystawionych prac. Duże zainteresowanie wzbudziła w Lublinie zorganizowana przez Wydział Kultury Prezydium WRN w Lublinie i Klub Międzynarodowej Prasy i Książki wystawa z cyklu „Mała Galeria Sztuki” — twórczości popularnego malarza — prymitywa z Krynicy Nikifora (p. reportaż M. Dereckiego w n-rze 22 „Kamień”). Na wystawie zgromadzono około 40 prac oryginalnych tego artysty charakterystycznych dla różnych okresów jego twórczości. Wystawę uzupełnił odczyt red. „Polskiej Sztuki Ludowej” mgr Aleksandra Jackowskiego na temat „Nikifor i sztuka naiwna”, oraz reportaż Mirosława Dereckiego. W czasie trwania wystawy odtworzono również z taśmy magnetofonowej audycje radiowa red. W. Torczyńskiej o Nikiforze, z udziałem red. A. Jackowskiego i art.-malarza St. Zielińskiego. Fotografie Nikifora i jego prac, które uzupełniają ekspozycję wystawy — mgr A. Czerepińskiego, dra Tadeusza Witkowskiego, Mariana Włosńskiego z Krynicy, oraz St. Butryma. Katalog wystawy w przygotowaniu. Na uwagę zasługuje inicjatywa Związku Plastyków urządzania małych roboczych wystaw w oknie wystawowym sklepu „Plastyka”. Obecnie mieszkańcy Lublina mogą zapoznać się z najświeższymi pracami Zenona Kononowicza. Wystawy te zmieniają się co 2 tygodnie. Zenon Kononowicz Róże (olej)

JOHN Harvey nigdy nie lubił komiśyjnych egzaminów. Bo przecież: „nec Hercules...”. Tym bardziej, że nie był takim znów Herkulesem. Pewnie, ukończył wyższe studia ze specjalizacją: „kosmiczna łączność radiowa”, uzyskując zaszczytne wyróżnienie, ale... Ale czy to on jeden w całej Anglii? I na całym świecie? Bo właśnie cały świat trzeba wziąć pod twórczą uwagę, cały świat, nawet małeńki Luxemburg, którego obywatel Jean Perpignan zajmował stanowisko Pierwszego Łącznościowca na pokładzie LXI Rakiety Kosmicznej. Wprawdzie w Światowej Radzie Kosmicznej przewodzi oczywiście — tak, jak i w innych dziedzinach — Wielkie Mocarstwa (ZSRR, USA, Anglia, Francja, Chiny Ludowe, India, Japonia, Indonezja, Federacja Ogólnafrkańska), jednak równe prawa startu (kosmicznego startu!) ma przecież każdy obywatel naszej wspólnej matki Ziemi.

Wzrok Johna zatrzymał się przy tym fragmencie egzaminacyjnego stołu, gdzie powiewała flaga angielska. Tak, powiewała, gdyż salę broniły przed zalewem upałów mgliste kształty wirujących po owadziemu wentylatorów. Lato roku 1981 było upalne wskutek udanych prób roztopienia lodów Bieguna Północnego. Średnia temperatura Ziemi podskoczyła ku Słońcu z plus piętnastu stopni (dane na rok 1961) do plus 20 stopni Celsjusza.

— Mój rodak w komisji powinien być za mną — zaczął myśleć Harvey, ale nawet nie skończył myśleć tej myśli, gdy przecięła ją bezwzględnie inna:

— Nonsens. Przecież na sali włączone są czujniki antynacjonalistyczne, które w razie jakichś szowinistycznych nastrojów alarmują resztą towarzystwa donośnym brzęczeniem. Okropny wynalazek. W tym wypadku tylko oczywiście, bo tak w ogóle, to czujniki są ważkim czynnikiem zachowania światowego pokoju. W ubiegłym roku, na przykład, w czasie wojenniczego, jak zawsze, przemówienie stułetniego już kanclerza Adenauera, u którego mimo rekordowo podszłego wieku wcale nie zauważa się zgrzybiałości nienawistnych uczuć do komunizmu — otóż w czasie jego przemówienia czujniki zaczęły tak piekielnie hałasować, że sędziwy kanclerz zupełnie ośluchł. Ten fakt dał asumpt do złośliwych uwag publicyści londyńskiego „Timesa”, który tak komentuje ów incydent:

„Mr Adenauer od kilkudziesięciu lat i tak już był głuchy na wezwania pokojowe, płynące nie tylko ze Wschodu, ale i z Zachodu. Jak więc może ośluchnąć ten, kto dawno postradał swój zmysł słuchu?”

— Mr John Harvey, z Coventry, Anglia! — John usłyszał swe nazwisko, wywoływane przez przewodniczącego komisji. W tym wykonaniu wydało mu się obce, ale przecież jednocześnie jakieś miłe, miękkie, przychylnie. Nic dziwnego: przewodniczący był Białorusinem i stąd zmiękczenie spółgłosek angielskich.

John musiał mieć bardzo biedną minę, skoro przewodniczący odezwał się doń zachęcająco:

— My nie tacy straszni i skoro nie bał się pan wszystkich zawiloci swej specjalizacji, tak chlubne ukończonej, to i nas nie powinien się pan obawiać. Ja popieram pańską kandydaturę.

Przedstawiciel Federacji Ogólnafrkańskiej, mający jeszcze zadawnione urazy w stosunku do Anglików, pokreślił w tym momencie głową z wyraźną dezaprobatą. Nikt nie zauważył tego ruchu — nikt, prócz czujników antynacjonalistycznych. Ich męczący łoskot wydał się teraz Johnowi najpiękniejszą muzyką atomową w wykonaniu czołowego zespołu automatów akceleratorowych. Afrykańczyk zawstydił się swego, może nawet niezupełnie świadomego odruchu. Przestał kręcić głową, a raczej zmienił tylko kierunek tego kręcenia z poprzecznego, wyrażającego: „nie” — na podłużny, wyrażający: „tak”. Czujniki wyscisły się momentalnie.

— Jest pan przyjęty — orzekł przewodniczący. — To jest — poprawił się zaraz — będzie pan przyjęty, o ile pańska żona wyrazi zgodę na pański udział w wyprawie. Nie trzeba chyba panu tłumaczyć, że po miesięcznej podróży w rakiecie fotonowej, śmigającej w Kosmos z szybkością światła, powróci na Ziemię — wskutek względności czasu — dopiero po trzydziestu ziemskich latach. Pan liczy sobie obecnie... (zajrzał do ankiety personalnej Johna) — trzydzieści dwa lata, żona — trzydzieści. W chwili po-

wrotu będzie pan, trzydziestodwuletniego młodego człowieka, witać sześćdziesięcioletnia kobieta... Ja wiem, że pan kocha swą żonę, ale inni... No tak, było, jest i będzie mnóstwo tragedii spowodowanych „kurczeniem się” czasu, dlatego też Światowa Federacja Kobiet wymogła na Światowej Radzie Kosmicznej warunek sine-qua-non fotonowych lotów: zgodę współmałżonka.

— Moja żona wyrazi zgodę — rzekł z przekonaniem John. — Istotnie, Mary już dawno powiedziała swoje: „tak”, tym bardziej, że była wtajemniczona w plany męża...

Plan! Plan, który przyniesie im milion funtów szterlingów! Jakże to kosmiczne wprost szczęście, że na sali nie ma zainstalowanych czujników moralnych, które egzaminowałyby także etyczne pobudki kandydatów na kosmonautów. Czujniki te są dopiero w stadium eksperymentów. Koszt ich produkcji jest wciąż bardzo wysoki, już jednak w najbliższej przyszłości masowe ich rozpowszechnienie powinno usunąć ten największy konflikt końca dwudziestego wieku: dysproporcję między wysokim poziomem techniki, a wciąż nie nadążającym za nim poziomem etycznym użytkowników tejże techniki.

Gdyby na sali były obecne czujniki moralne — wszystko wzięłoby w łeb. Wysoka Komisja dowiedziałaby się z niesmakiem, że jedynym powodem kosmicznych zamiarów Johna Harveya była... chęć uzyskania spadku po wuju-milionerze! Lekarze dają

leśnim mężczyzną, kto wie, może za parę dni zostanie już dziadkiem...

John spojrział w tej chwili nieufnie na swój zegarek. Wskazywał godzinę 15.11, a na tarczy dziennej — 23 lipca 1981 roku, czyli: trzeci dzień wyprawy, mającej trwać miesiąc (dla kosmonautów) i jednocześnie całe trzydzieści lat (dla reszty Ziemi). Także — co najważniejsze — dla dogorywającego wuja Harveya!

Japończyk Okado, Główny Chronolog, zauważył nieufne spojrzenie Johna na czasomierz. Uśmiechnął się:

— Widzę, że nie może się to panu dobrze pomieścić w głowie, te igraszki czasu i przestrzeni...

— Czytałam kiedyś taką fantastyczną powieść Wellsa: „Nowy akcelerator” — wtrącił się Vauvin — gdzie czas też „skracal się”, jak u nas.

— Ja też miałem w ręku „Stracony horyzont” Jamesa Hiltona — dorzucił profesor Iwanow — powieść o pewnej dolinie w Tybecie, gdzie czas płynął wolniej. Ale po co aż tak daleko sięgać po „lupe czasu”? Wystarczy zobaczyć film „zwolniony” (jak to się powszechnie mówi niestudnie, gdyż jest to właśnie film przyspieszony), by móc obserwować, jak na przykład szklanka spada ze stołu parę minut, tańcząc w powietrzu, to znów kwiat rozwija się w ciągu paru sekund.

— Ale chyba pionierem w tej dziedzinie był Andersen — Duńczyk Jansen nie ożyłby Duńczykiem, gdyby tego nie powiedział — pamiętacie państwo tę jego baśń, w której królewna tuż

— teraz trochę rozumie — zaczęła przepaszając John, ale profesor Okado machnął niecierpliwie ręką:

— Kto mówi, jak pan, że „teraz rozumie” — ten mało jeszcze wyznaje się na czasie! „Teraz” to dla człowieka bynajmniej nie obiektywna teraźniejszość, lecz... przeszłość! No tak, bo — stojąc na powierzchni Ziemi — widzi pan obraz Słońca każdorazowo nie „teraz”, jak by powiedział człowiek nie rozumiejący istoty czasu, lecz to, co odbiera siatkówka pańskiego oka jest fotografią Słońca sprzed całych trzech minut, tyle bowiem trzeba czasu, by światło przebiegło drogę Słońce — oko ludzkie. Nawet moją twarz widzi pan nie „teraz”, lecz zobaczy pan mój aktualny układ rysów dopiero w przyszłości, w przyszłości, co prawda, bliskiej, bo za całą... jedną trzysiemilionową część sekundy, gdyż znajdują się „teraz” w odległości jednego metra od pańskiego fotela.

— A wszystko przez tego Einsteina — westchnął żartobliwie profesor Iwanow — aż do początku dwudziestego wieku wszystko było w czasie proste. Newton — i wielu uczonych przed i po nim — twierdziło: „Czas absolutny upływa równomiernie i jest niezależny od jakiegokolwiek obiektu”.

— Ja tam, nawet gdybym nie znał teorii Einsteina — odezwał się profesor Vauvin — sam bym się domyślił, że z tą jednością i równomiernością czasu „coś nie tego”. Jeszcze w szkole poczyniłem obserwację, że godzina gry w piłkę jest krótsza kilka, jeśli nie więcej razy od godziny matematyki, której szczerze nienawidziłem.

— Na litość boską — przeraził się wcale nie na żarty profesor Iwanow — więc jakim cudem zajmuje pan wśród nas stanowisko Pierwszego Matematyka? Jeśli się pan pomylł w swych rachunkach i kopnie naszą rakieta, niby piłkę nożną, w nieco fałszywym kierunku, to nasz mecz z przestrzenią i czasem będzie miał fatalny wynik! Możemy wcale...

Nie dokończył, zreflektowawszy się, gdyż według podstawowego kanonu kosmicznego savoir-vivre'u wszelkie dowcipy na temat zagubienia się w Kosmosie uważane były za objaw złego gustu, coś w rodzaju jak opowiadanie dowcipów o teściowej.

Profesor Vauvin nie spieszył się ani na chwilę.

— Kpiarz z pana. W roku 1981 udawać, że się nie wie o istnieniu kuracji predestynacyjnej! Ojciec kazał mi poddać się takiej kuracji jeszcze gdy byłem w piątej klasie. Po miesiącach codziennych bodźców elektrycznych moja mózgowica była już tak matematykolubna, jak wielka była przedtem moja „piłkofilnia”. Próżno prosiłem ojca, by nie kazał usuwać mi mojej pasji do piłki nożnej. Usunięto mi ją i... i obecnie jestem tam, na naszej staruszce Ziemi jednym z czołowych zawodników piłkarskich drużyny Uniwersytetu Paryskiego.

— Dał pan sobie regenerować przytłumione komórki skłonnościowe? — domyślił się profesor Iwanow.

— Właśnie. Bo niby dlaczego piłka nożna ma konieczność przeszkadzać moim studium matematycznym? Wprost przeciwnie, te dwie dziedziny nawzajem sobie pomagają! Piłka nożna, jak każdy sport, zajęcia fizyczne, działa „wentylująco” na organizm, degenerujący się przewagą pracy intelektualnej. A znów matematyka bardzo mi się przydała w moich meczach do obliczania kąta, pod jakim najkorzystniej jest kopnąć piłkę w kierunku bramki przeciwnika...

— Pewnie — przytaknął profesor Vauvin — dzisiejsi sportowcy nie znają już antagonizmu: „ciało — intelekt”, jaki panował jeszcze parę dziesiątków lat temu. Po prostu: rekordy zostały tak niebotycznie wyrubowane, że bez studiów fizyki nie przyjmując się nawet kandydatów na wstępne eliminacje do skoku o tyczce.

— To jest zrozumiałe, żyjemy przecież w epoce takich wyrubowanych „skoków o tyczce”, jakim jest nasz „skok”.

Zegar, zwykły „ziemski” zegar, trochę dziwnie wyglądający w tej rakiecie, wyzwalającej się z pęt konwencjonalnego ziemskiego czasu, wybił bardzo poważnie kolejną godzinę. Mógł sobie pozwolić na podobne dostojęstwo, nie wiedział przecież nic o rewelacjach Einsteina, wieścił więc nobliwym dźwiękiem, iż: „Czas jest jeden, a zegar — jego prorokiem”.

— Przegadaliśmy całą godzinę — zauważył John. — W przeliczeniu na

BEZWZGLEDNY CZAS

JANUSZ BIAŁECKI

mu jeszcze plus minus pięć — dziesięć lat życia. Czekać taki szmat czasu na bogactwo, które można zagarnąć po miesięcznym locie w rakiecie fotonowej? John wybrał tę drugą ewentualność. A wysoka komisja wybrała z kolei Johna. Cóż, brak czujników moralnych...

— Moje gratulacje... Jesteś milionerem... — John sam sobie ścisnął dłoń, mocno, aż do zbielejącej skóry.

— Niechże się pan już nie denerwuje, skoro jest pan przyjęty — zrozumiał go opacznie przewodniczący, uśmiechając się przyjaźnie.

Słusznie. Nie denerwować się. Bateria jest już właściwie wygrana. Teraz tylko wsiąść. Przeczekać miesiąc. Wsiąść. Zainkasować...

PRZEZ CAŁY CZAS — O CZASIE

W GŁÓWNYM salonie Rakiety LXXII ściany wydzielaly równomierne światło, które laik określiłby jako: „doskonale imitujące dzienne światło Ziemi”, a znowca — o, ten dorzuciłby jeszcze wiele szczegółów na ten temat. Takich na przykład, że do owej „doskonałej imitacji” dołączone są podpromienie Delta 23, znakomicie tonizujące podrażniony wieloma bodźcami system nerwowy kosmonautów. Gdyby nie te podpromienie, kto wie, czy rozmowy Kolumbów przestworzyłyby się zawsze tak pogodnie i nieodmownie przyjaźnie, jak te, które prowadzono w głównym salonie.

John spojrział przez iluminator na szybko znikającą w oddali świetlną kulę Wenus (rakietę fotonową minęła już po siedmiu minutach lotu). Ten widok wydał mu się tak nowy, jak bez precedensu jest obraz świata widzialnego oglądany po raz pierwszy przez odzyskującego wzrok ślepeca.

— Byliśmy dotąd istotnie ślepi — dalszy ciąg swych myśli John prowadził już w głośnie rozmowie. — Nikt z nas tam na Ziemi nie był w stanie zauważyć światła, skoro nie mogliśmy apercepcować rozmiaru jego szybkości. Obecnie, skoro podgimy z szybkością trzystu tysięcy kilometrów na sekundę — dopiero teraz WIDZIMY światło. To cudowny widok!

Siedzący obok Francuz, profesor Vauvin podjął rozmowę:

— Co więcej: po powrocie na Ziemię zobaczymy bardzo jasną CZAS. Czas, przed którym obecnie uciekamy z szybkością światła. Mój dwuletni synek będzie już trzydziesto-

przed swym ślubem znalazła się cudownym jakimś sposobem w niebie, zabawiła tam zaledwie trzy miesiące i wróciła potem do swego oblubieńca, cóż z tego, gdy w tak zwanym „międzyczasy” na Ziemi upłynęło wiele setek lat i biedna podróżniczka w czasie znalazła w swej stolicy jedynie bardzo stary pomnik pewnej królowej, która tuż przed swym ślubem nagle znikła...

Kosmonauci zamyśliłi się. John myślał:

— A co będzie, jeśli nasza wyprawa ulegnie przedłużeniu i wrócimy nie w roku 2011, lecz — dajmy na to — w roku 2100? Czy prawo spadkowe nie ulegnie przedawnieniu? Żeby nie myśleć o tak przykrych ewentualnościach, przerwał milczenie:

— Mówcie sobie co chcecie, zwolnijcie mnie nawet od zaraz za nieuctwo, ale ja w żaden sposób nie mogę zrozumieć tych różnych czasów. Czas — to dla mnie jest czas. Jeden czas.

— Czyżby tylko jeden? — podał w wątpliwość profesor Okado — sam pan w to nie wierzy. Ileż to razy musiał pan mówić i słyszeć taki zwrot: „Cóż to dzisiaj za czas!” „Ciężkie czasy!” itd. Słyszysz pan: „czas”, a nie „czas”! Pluralis!

— Och, to się tylko tak mówi...

— Ale i tak jest. Dlaczego czas miałby być, u licha, tylko jeden? Czas — to forma bytu materii, rytym tego bytu. Były są różne, a więc i rytmy — też. Nawet katarzynka zdolna jest do zmian rytmu, w zależności od tego, z jaką szybkością poruszamy jej korbką. Nawet bardzo pedantyczny muzyk, uderzający stale w równych odstępach czasu w jeden i ten sam klawisz — nawet tu obserwujemy zmiany rytmu, boć przecie doskonale jednakowa częstotliwość i siła uderzenia jest czymś niewykonalnym. A cóż dopiero mówić o tej arcowikiestrze symfonicznej, jaką jest świat! Rzecz jasną jest tedy, że dla takiego Matuzalema, jakim jest na przykład pierwiastek uran o bardzo długim okresie rozpadu — tysiąc lat jest dla niego tym, czym dla pana mgnienie oka! A znów to nasze ludzkie mrugnięcie oka, trwające pół sekundy, musi wydawać się astronomicznie wielkim okresem czasu takiemu „antymatuzalemu”, jakim jest mezon pi, który — według obliczeń doktora Glassera jeszcze z roku 1961 — „żyje” zaledwie dwie dziesięciomilionowe części jednej miliardowej sekundy!

czas ziemski wyniesie to ponad trzy-
sta razy więcej, czyli jakiegoś dwa ty-
godnie!

Profesor Iwanow wstał z fotela i po-
dażył ku swej kabine. Zbliżał się czas
jego dyżuru w obserwatorium rakiety.
Punktualność obowiązywała nawet —
a raczej zwłaszcza — tu, gdzie CZAS
zruczył swój płaszcz oschłego pedan-
ta i ujawnił swą prawdziwą naturę:
przekornej, trzpiotowatej istoty, która
władnie się wszędzie, gdzie tylko coś
się dzieje.

— Czas jest wszędzie, gdzie coś się
dzieje — podjął tę myśl profesor Vau-
vin — dobrze, a tam gdzie nie ma
i nic się nie dzieje, tam w takim
razie nie ma czasu?

— Znam tę teorię — włączył się do
dyskusji profesor Okado — ale, wed-
ług mojej żartobliwej teorii, właś-
nie tam, gdzie coś się dzieje, gdzie du-
żo się robi, właśnie tam czasu jest
zawsze za mało, właśnie tam „nie ma
czasu”...

Wszyscy uśmiechnęli się do żartu
uczonego. I pomyśleli jednocześnie, że
pytanie, rzucone przez profesora Vau-
vin — to wcale nie żart i że należy się
nad nim nie na żarty zastanowić.

Tylko Harvey myśląc o czasie miał
na myśli jedynie jeden czas, bardzo
jednoznaczny: czas, kiedy notariusz w
Coventry wręczył mu testament i po-
wie, ściskając jego dłoń:

— Umarł milioner — niech żyje
milioner. Bardzo lubię być akuszerką
przy narodzinach nowych milionerów.

SPELNIENIE MARZEN

LICZNIKI rakiety działały bez-
szereśnie, much w kabinach
także nie było, kosmonauci foto-
nowi mogli więc bez przeszkód na-
słuchiwać bicia swych serc, których
rytm, w miarę zbliżania się do Ziemi,
był coraz szybszy. Zmiany takie nie
były związane ze zmianami rytmu czasu
— rakietę wciąż jeszcze pędziła z
szybkością światła — lecz były po pro-
stu skutkiem zdenerwowania: jakie
będzie oblicze Ziemi o całej trzydziści
lat starszej?

Główny Lekarz wyprawy podsuwał
im tabletki usuwające radykalnie
wszelkie stany zdenerwowania. Od-
mówili:

— Nie chcemy pozbawiać się emocji
— nawet, jeśli nie będzie ona zawsze
tylko przyjemna.

Jedynie ekipa dyżurująca skorzysta-
ła ze specyfików doktora, gdyż właś-
ciwie przeprowadzone hamowanie mia-
ło dla rakiety życiowe znaczenie.

Rakietę wchodziła już w obszar
pracy ziemskiej. Główny Kierownik
wygasł fotonowe silniki po-
jazdu i obecnie statek spadał ku Ziem-
ni śmieśnie wolno w porównaniu z
poprzednimi przedkosciami.

Profesor Iwanow przezornie nacis-
nął guzik powodujący spuszczenie za-
słona na wszystkie iluminatory rakiety.
Zbliżano się już do górnych warstw
atmosfery ziemskiej, a widok rozża-
rzonej powierzchni statku robił wra-
żenie nawet na doświadczonych „wil-
kach Kosmosu”.

John Harvey zapadł się głęboko w
swym fotelu i odgradził od wszelkich
możliwych niebezpieczeństw... zamk-
nięciem oczu. Niech tam różni mówią
co chcą o „chowaniu głowy w piasek”,
ale... jeśli to komuś trochę pomaga...

Profesor Iwanow szarpnął go za ra-
mie:

— Niech pan wstaje, wiaz jest już
otwarty, musimy wyjść wszyscy raz-
em, w przeciwnym wypadku gotowi
pomyśleć, że zgubiliśmy pana w Kos-
mosie!

John zerwał się:

— Więc to już?

— Już. Już rok 2011!

Tak. Żeby kosmonauci nie mieli
żadnych wątpliwości w tym względzie,
tłumy witających przyniosły im w po-
darku liczne kalendarze o jakim fra-
pującym tytule, brzmiałym, jak tytuł
powieści fantastycznej:

„Kalendarz na rok 2011”.

Zresztą, nawet bez tych transpa-
rentów zmiennego czasu, same już
stroje ludzi, mocno odmienne od mo-
dy Anno Domini 1981, mówiły za sie-
bie.

John ścisnął dłoń prezesa Światowej
Rady Kosmicznej, dyrektora kosmo-
dromu... Ale gdzie Mary? Może za-
pomniła przez te trzydzieści lat? Nie,
to niemożliwe, mówili sobie po tysiąc
razy, że ich miłość będzie trwać wiecz-
nie...

Ścisnął teraz dłoń kolejnej witają-
cej go osoby i mocno się zdziwił, że
owa osoba — uroczą panią, nawia-
sem mówiąc — czule całuje go w usta.
— To było bardzo miłe z pani stro-
ny — obliżał się John (ta szminka

WYMOWNY PRZYKŁAD ZNACZENIA badań kompleksowych

JAN
JASKANIS

KIEDY w latach 1955—1956 roz-
poczęte zostały na Białostoc-
czyźnie, w okolicy Suwałk ze-
spółne badania archeologiczne kil-
ku cmentarzysk kurhanowych z I ty-
siąclecia n. ery, miały one głównie
na uwadze ratowanie niszczących
obiektów. Kamienne nasypy kurha-
nów zbyt często stawały się źródłem

miała przedziwnie ponętny smak!)
— ale ja jestem żonaty i mo-
ja żona prawdopodobnie jest tu także
na lotnisku!

— Wiem o tym — odparła niezmię-
szana pannica — wiem o tym lepiej,
niż ktokolwiek inny, gdyż to ja właś-
nie jestem Mary, twoja żona!

— Niemożliwe — zaczął się John
— Ty... pani... Moja Mary w roku
2011 ma sześćdziesiąt lat!

Panią przycisnęła jego wargi
dłonią:

— Ciszej! Miałam mieć sześćdziesiąt
i mam sześćdziesiąt, dobrze, ale po co
od razu mają wszyscy o tym słyszeć?
To po to męczyłam się tyle w klinice
geriatrycznej, żebyś ty teraz demasko-
wał mnie przed wszystkimi. Wy w
czasie waszej podróży staliście się
strasznie zacofani i zupełnie nie wie-
ciecie jeszcze, że przez ten czas kuracje
odmładzające potrafią nie tylko pow-
strzymać starość, ale i parę latków
zdjąć człowiekowi z grzbietu!

— I wierzę ci teraz rakiem foton-
owej — mruknął John. — Ale, ale —
zaniepokoił się na dobre — mam na-
dzieje, że nasz wujek był już za stary
i zbyt chorowity na to, by poddać się
podobnej kuracji?!

— Masz rację.

— Całe szczęście!

— Nie takie znowu całe. Wujek nie
miał co prawda c'erpliwości do żmud-
nych zabiegów regeneracyjnych. Ale
umrzeć — też nie chciał. Przez pro-
tektę dostał się więc — zmyliwszy
czujniki antyprotektynowe odpowiednią
łapówką — w skład załogi Rakiety
Fotonowej LXXXI. „Lekarze dają mi
jeszcze dwa lata życia — powiedział
mi na odejściu — dobrze, rok spę-
dź w rakiecie, a kiedy wrócę, pożyję
sobie ten następny rokczek już w wie-
ku dwudziestym trzecim naszej ery!
— Mądrze zrobił ten nasz kochany
wujaszek! — uśmiechnął się dobro-
dusznie John — z każdym dniem
coraz więcej go kocham i szanuję. Całe
szczęście, że cieszy się dobrym zdro-
wieniem i że nie urzęje już ani grosza z
jego milionowej fortuny. Pieniądze nie
dają przecież szczęścia, szczęście mo-
że dać tylko uczciwa praca i miłość
do takiej istoty, jak ty, kochanie!

Umilkł na chwilę i spojrzał ze
zdziwieniem na żonę:

— Mary...

— Co, kochanie?

— Czy słyszałaś, co ja przed chwilą
mówiłem? Dziwna rzecz... Otóż wszy-
stkie te zdania wypowiedziałem zupeł-
nie szczerze, „z głębi serca”, a
przecież jeszcze wysiadając z rakiety
czulem coś wręć przeciwnego. Oczy-
wiście nie w odniesieniu do ciebie,
ale co do wujka i spadku. Czym to
wytłumaczyć?

— Mówiłam ci już, że staliście się
strasznie zacofani, jeżdżąc po provin-
cji naszego wszechświata — wyjaś-
niła Mary — przez ten czas udosko-
nalono już czujniki moralne do tego
stopnia, że każde uczucie sprzeczne z
obowiązującą etyką jest z miejsca
naprostowywane na właściwe ścieżki
tego wielkiego kosmosu, jakim jest
nasz mózg.

— Taak... — bąknął bardzo stropio-
ny John — Cóż za paradoks: n. więk-
sza szybkość powoduje zacofanie!
Czas — mimo całej teorii względności
czasu — jest w gruncie rzeczy zawsze
bezwzględny. Tak zakpić sobie ze
mnie, pozbawić mnie spadku, porwać
przed objęciami śmierci tego wstrę-
tego starucha-wuja! Bezwzględny
oszust z tego czasu!

Znów umilkł. Po chwili:

— Mary... Ja znowu jestem szczerzy
w inny sposób...

— Nie martw się, kochanie. Cza-
sem nasze czujniki moralne cierpią
na zakłócenia... To przejdzie...

— Tak, już przeszło. Jestem szczę-
śliwy, że wujek żyje. Świat jest
piękny!

Janusz Bialecki

surowca do budowy dróg, piwnic
itp. Zabezpieczanie niszczących dóbr
kultury zrodziło wszakże i dalsze,
bardziej śmiałe zamierzenia. Bowiem
północno-wschodni kraniec Polski,
obszar pojezierza suwalsko-augustow-
skiego, m. in. ze względu na pery-
feryjność swojego położenia, pozos-
tawiał dotychczas na marginesie
zainteresowań polskiej archeologii.
Sporadyczne znaleziska i odkrycia
sygnalizowały jednak interesującą
i ważną problematykę badawczą.
Otóż w świetle nielicznych wpraw-
dzie, lecz wymownych źródeł pisa-
nych, historycy polscy i zagraniczni
lokowali na interesującym nas obsza-
rze plemiona bałtyjskich Jaćwiegów,
pobratymców sąsiadujących z nimi
od zachodu plemion staropruskich,
a od wschodu plemion litewskich.
Lud ten mało znany (zanikły bowiem
w końcu XIII wieku) budził w nau-
ce dawniejszej wiele kontrowersji.
I obecnie nieraz spotyka się wśród
miłośników historii pokutujące daw-
ne myślenie o jego pochod-
zeniu, języku, nazwie, kulturze oraz
terenie zamieszkiwania.

Jak wyglądała geneza Jaćwie-
ży i zjawisk ogólnikowo sygnali-
zowanych przez współczesnych jej
kronikarzy? Jak też kształtowały się
rzeczywiste stosunki tego ludu ze
słowińską Polską w zaraniu jej
państwowości? Na te pytania odpo-
wiedzi nie może dać zespół źródeł pi-
sanych, wykorzystanych już w swych
walorach interpretacyjnych przez
współczesnych nam historyków. W
roku 1959 na gruncie wstępnych za-
łożeń organizacyjnych kilku ekpedy-
cji wykopaliskowych powstała
Kompleksowa Ekspedycja Jaćwieska,
stawiająca sobie za cel poznanie los-
ów Jaćwieży (a także w szerszym
ujęciu przeszłości ziem pojaćwie-
skich), jej kultury, gospodarki, sto-
sunków społecznych, — drogą zespo-
łowych badań archeologicznych, an-
tropologicznych, historycznych, języ-
koznawczych i innych pomocniczych
dziedzin nauki. Nie potrzeba chyba
bliżej wyjaśniać, jak współdziałanie
różnych specjalności naukowych dla
wspólnego celu znakomicie może roz-
szerzyć możliwości poznawcze. Zer-
wanie z partykularnym zasklepia-
niem się w obrębie jednej nauki i
specjalności było podyktowane nie
tylko konkretnym wymogiem intere-
sującej nas problematyki, lecz wyni-
kiem ogólnie odczuwanej obecnie ko-
niecności kompleksowego rozwiązy-
wania zagadnień dawniejszej prze-
szłości. W Kompleksowej Ekspedycji
Jaćwieskiej doszło więc do scalenia
dotychczasowych inicjatyw badaw-
czych, rozproszonych po różnych
placówkach i instytucjach naukowo-
badawczych, oraz prac podejmowa-
nych w przypadkach indywidual-
nych. Obok ekip skupionych w ra-
mach sekcji archeologicznej, organi-
zowanych przez Państwowe Muzeum
Archeologiczne z Warszawy, Muzeum
i Konserwatora Zabytków Archeo-
logicznych w Białymstoku, Muzeum
Mazurskie w Olsztynie i in., w ramach
sekcji antropologicznej działa ekipa
z Zakładu Anatomii Prawidłowej Czło-
wieka Akademii Medycznej w Białym-
stoku, zaś w ramach sekcji języko-
znawczej zespół slawistów-balto-
logów szwedzkich z Uniwersytetu w Lund,
współpracujący zresztą z badaczami
polskimi. Prowadzą już badania sekcje:
historyczna, etnograficzna i przyrodni-
cza.

Kilkuletni okres istnienia Komplek-
sowej Ekspedycji pozwala już na pew-
ne zbilansowanie jej dorobku. Jest on
pokaźny, co najlepiej może ilustruje
dorobek archeologów, niejako rdzenia
Ekspedycji, dający podstawowy zasób
źródeł do wnioskowania historycznego.
Mówiąc o porównaniu genezy Jaćwieży,
archeolodzy skupili swe wysiłki na ba-
daniu stanowisk leżących w okolicy
Suwałk — w dorzeczu górno- i
środkowego biegu rzeki Czarna Hań-
cza. Wybór tego rejonu w granicach
terytorium jaćwieskiego, obok wspan-
nianego już we wstępie aspektu konser-
watorskiego, podyktowany był bog-
actwem występowania tu różnych
pozostałości dawnego osadnictwa. In-
tensywność osad i cmentarzysk sug-
rowała ścislenie jakiegoś centrum ple-
miennego. Śledząc śmy również do ba-
dania i wyjaśniania zjawisk wcześnie-
szych z I tysiąclecia n. ery — by w dal-
szym dopiero etapie zajęć się okresem
wczesnośredniowiecznym.

Generalnym stwierdzeniem wynika-
jącym z prac przeprowadzonych na
kilkunastu cmentarzyskach z II—VII
wieku n. ery oraz kilku odpowiadają-
cych im osadach jest wbrew dawniej-
szemu supozycjom — wysoki stosunko-
wo stopień rozwoju społeczno-gospo-
darczego ptolemeuszowej Sudowii,
analogiczny niemal do zjawisk zaob-
serwowanych w pobliskich plemionach
słowińskich.

Odkrycia archeologiczne i osiągnię-
cia Kompleksowej Ekspedycji spotka-
ły się z żywym zainteresowaniem nau-
ki polskiej i zagranicznej. Momentem
sprzyjającym jest tu w pewnym sensie
międzynarodowy charakter problematy-
ki, jak i charakter samej Ekspedycji,
podkreślony współudziałem uczo-
nych szwedzkich z prof. K. O. Falkiem
z Uniwersytetu w Lund na czele, kie-
rownika sekcji językoznawczej KEJ.
Uzasadnione zaciekańskie sprawy
naszych badań na gruncie skandynaw-
skim, w ZSRR i gdzie indziej budzi
nowożyte podjęte tematyki badań i no-
watorstwo koncepcji badawczej. Wy-
razem tego są dość liczne kontakty z
zagranicznymi ośrodkami naukowymi
w zakresie wymiany publikacji, publi-
kowania wyników badań przez człon-
ków Ekspedycji w naukowych perio-
dykach ZSRR czy USA czy też w za-
kresie kontaktów osobistych. Ważnym
wystąpieniem — wyróżniającym
osiągnięcia Ekspedycji — był udział jej
przedstawicieli, w osobach kierownika
dr Jerzego Antoniewicza oraz niżej
podpisanego, jako sekretarza nauko-
wego — w VI Międzynarodowym Kon-
gresie Nauk Prehistorycznych i Proto-
historycznych. Kongres ten odbył się
w końcu sierpnia i z początkiem
września br. w Rzymie z udziałem kil-
kusset zaproszonych gości z całego
świata. Delegacja nasza zaprezen-
towała na Kongresie wyniki badań Kom-
pleksowej Ekspedycji w postaci oka-
zanej broszury, wydanej w języku
angielskim pt. „The Sudovians”. Roz-
dzielona podobnie jak wydawnictwa
radzieckie czy włoskie pośród uczestni-
ków spotkała się z dużym oddźwiękiem
wśród delegacji poszczególnych kra-
jów. Znaczenie tego aktu polega na
tym, że liczni archeolodzy, zwłaszcza
z Europy zachodniej, mogli poznać
nowsze osiągnięcia nauki polskiej w
dziedzinie badań nad Bałtami z bez-
pośredniego, polskiego źródła. Wbrew
bowiem niektórym niechętnym głosom
sugerującym zastój badań nad Bałta-
mi w Polsce, broszura „The Sudovians”
jest trwałym dowodem istot-
nych polskich sukcesów na tym polu.

Wskazując na znaczenie osiągnięć i
poczynając Kompleksowej Ekspedycji
Jaćwieskiej, nie można pomijać rów-
nież roli, jaką ona odgrywa na swym
macierzystym terenie, na Białostoc-
czyźnie. Popularyzacja wyników drogą
publikacji prasowych, odczytów, wy-
staw, wreszcie wśród wycieczek przy-
bывających na miejsca badań przy-
czynia się do pobudzenia w miejsco-
wym społeczeństwie zainteresowań re-
gionalnych, stając się jednym z aktyw-
nych czynników rozwoju kulturalnego.
Można to uważać za jedną z form za-
gospodarowywania kulturalnego za-
niebdanych w tym względzie do nie-
dawna obszarów Białostoczczyzny. Wa-
żne przeto do odnotowania w tym
miejscu jest powstanie „Rocznika Bia-
łostockiego”, publikującego m. in. ma-
teriały z badań Kompleksowej Ekpedy-
cji — pierwszego periodyku nauko-
wego o kierunku humanistycznym w
Polsce północno-wschodniej. Na bazie
organizacyjnej Kompleksowej Ekpedy-
cji Jaćwieskiej powstało wreszcie
Białostockie Towarzystwo Naukowe,
które w myśl założeń statutowych jest
organem naukowym, służącym swą
działalnością postępowi gospodarcze-
mu, społecznemu i kulturalnemu wo-
jewództwa białostockiego. Komplekso-
wa Ekspedycja jest więc obecnie ze-
spółem badawczym tego Towarzystwa.

Wykładnikiem niejako zrozumienia
społeczeństwa Białostoczczyzny zamie-
rzeń Kompleksowej Ekspedycji Jać-
wieskiej oraz pozytywnej oceny jej
działalności jest także pełne poparcie
stanowisko miejscowych władz, tak
wojewódzkich, jak i powiatowych. Bez
ich pomocy finansowej, materialnej i
zachęty moralnej nie byłoby w stanie
zrealizować drobnej nawet
części nakreślonych celów.

KONSPIRACJA LUBELSKA 1862-1863 R.

RYSZARD BENDER

P O krwawym starciu ludu Warszawy z wojskiem carskim w dniu 27.II.1861 r., w całym kraju nastąpił okres żałoby. Wszędzie organizowano nabożeństwa żałobne za pięciu poległych. Spiewano pieśni patriotyczno-religijne, przywdziewano dawne stroje narodowe. W manifestacjach ulicznych i demonstracjach politycznych w Warszawie, Lublinie i innych miastach Królestwa Polskiego — brały udział tysiączne rzesze ludzi, głównie spośród niższych warstw ludności miejskiej. Był to okres tzw. rewolucji moralnej. Z czasem, gdy za sprawą stronnictwa Czerwonych powstały tajne władze narodowe: Komitet Miejski, a po nim Centralny Komitet Narodowy oraz ich odpowiedniki terenowe, ograniczono masowe wystąpienia. Od manifestacji ludność Królestwa przeszła do pracy spiskowej, jako szybkiej prowadzącej do powstania.

W części ówczesnej guberni lubelskiej, której przywrócono dawną nazwę województwa lubelskiego, władzę zwierzchnią nad pracą konspiracyjną z ramienia Czerwonych sprawował naczelnik wojewódzki. Był nim wikariusz katedralny, młody 31-letni ks. Baltazar Pańnikowski. Stał on na czele lubelskiej organizacji spiskowej od momentu jej zawiązania, za sprawą Leona Frankowskiego, latem 1861 r. W czynnościach spiskowych pomagał mu wydatnie jego najbliższy współpracownik, prowizor aptekarski Kazimierz Walentowicz. Pierwszy z nich zajął się Lublinem i przedmieściami, drugi prowincją. Organizowanie prowincji pojął K. Walentowicz w sposób bardzo szeroki. Zajął się werbowaniem do pracy spiskowej nie tylko ludności cywilnej, ale również i wojskowych rosyjskich. Utrzymywał on kontakt z całym szeregiem rosyjskich oficerów, wśród żołnierzy szerzył rewolucyjną propagandę powstańczą. Trochę później propagandę wśród wojska rozwijał także pracownik zakładu nożowniczego Józef Sobolewski.

Do organizacji spiskowej w Lublinie przystąpili bardzo licznie mieszkańcy miasta. W szeregach konspiratorów znaleźli się rzemieślnicy, mniej zamożni kupcy, uczniowie, księża, zakonnicy, niżsi urzędnicy, służba domowa, oprócz chrześcijan także Żydzi. Ludzie ci, rekrutujący się z niżej postawionych w hierarchii społecznej warstw ludności, osiągnęli w organizacji spiskowej wiele ważnych stanowisk. Zostali dziesiątkami i setnikami. Edward (Wacław) Nowakowski, kleryk z lubelskiego klasztoru kapucyńskiego, miał być nawet przez pewien czas naczelnikiem rewolucyjnym Lublina i utrzymywał ścisły kontakt z kierownictwem spiskowym w Warszawie. Lublin bardzo szybko stał się ważnym ośrodkiem w krajowej organizacji spiskowej. Tutaj z inicjatywy ks. B. Pańnikowskiego i jego współpracowników odbywały się regionalne, międzywojewódzkie zjazdy i narady konspiracyjne. Do najważniejszych należał zjazd konspiratorów odbyty 18.XII.1862 r. Przybyli wtedy do Lublina m. in. ks. Adam Słotwiński, naczelnik powiatu łukowskiego, i ks. Stanisław Brzózka, naczelnik miasta Łukowa. Organizacja lubelska przyznała się też do opowiedzenia się duchowieństwa diecezji lubelskiej po stronie Czerwonych i Centralnego Komitetu Narodowego na zjeździe w Biskupicach w dniu 28.XI.1862 r.

Działalność spiskowa szybko dotarła do wszystkich miast i miasteczek województwa. Rozwinęła się najlepiej w Chełmie. Pierwszą komórkę spiskową w tym mieście założono niewiele później niż w Lublinie, tzn. przypuszczalnie jeszcze jesienią 1861 r. Praca konspiracyjna w Chełmie rozwinęła się w imponującym tempie. Pod koniec 1862 r. tamtejsza organizacja spiskowa stała się jedną z najliczniejszych w województwie. Komisarz wojewódzki lubelski Leon Frankowski dążył usilnie do włączenia do konspiracji możliwie największej liczby ludności miejskiej. Przyjmowano więc ludzi w sposób w dużym stopniu lekkomyślny, dając najwidoczniej przede wszystkim do rozwoju liczebny szeregów spiskowych. Ten sposób rekrutacji spowodował dostanie się do organizacji spiskowej w Chełmie konfidenta władz carskich Aleksandra Andrzeja Starzewskiego. Zbyt późne wyko-

nanie wyroku śmierci na nim spowodowało, że przekazał w ręce rosyjskie nazwiska wielu czołowych spiskowców z Lubelskiego. Wszystkie te osoby, po zabójstwie Starzewskiego, zostały natychmiast aresztowane. Sledztwo przeciw nim, zmierzające do wykrycia kierownictwa konspiracji lubelskiej i winnych zabójstwa Starzewskiego oraz jego przyjaciółki Konstancji Czerniak, prowadził pułkownik Kalikst Witkowski, szef sztabu dowódcy wojsk rosyjskich w Lubelskiem gen. Aleksandra Chruszczowa. Wykrył on nie tylko lokalne władze spiskowe w Chełmie, Krasnymstawie i innych miejscowościach, ale także wojewódzkie władze spiskowe z ks. B. Pańnikowskim na czele. Dziesiątki osób aresztowano i zamknięto w twierdzy w Zamościu. Znalazł się tam także naczelnik wojewódzki lubelski ks. B. Pańnikowski. Aresztowano go w nocy z 18 na 19 grudnia 1862 r. Już wcześniej w twierdzy zamojskiej znalazł się K. Walentowicz, wydany przez rosyjskiego oficera, w związku z szerzeniem propagandy powstańczej wśród wojska. Z osób należących do kierownictwa spiskowego aresztowano także między innymi naczelnika powiatu chełmskiego Leona Niemirowskiego i naczelnika Lublina, adwokata Kazimierza Gregorowicza. Przebywał on w więzieniu lubelskim od 19.XII.1862 r. do 27.XII.1862 r. Zwolnienie zawdzięczał świetnej obronie i nieudowodnieniu mu winy mimo poważnych obciąża-

Przetrzymanie w twierdzy zamojskiej aresztowanych przedłużało się. Sledztwo przeciw nim trwało nadal, nawet po wyjeździe plk. K. Witkowskiego z Zamościa w dniu 12.I.1863 roku. Władze rosyjskie lękały się o ich los. Przewidywały zdaje się możliwość oswobodzenia aresztowanych przez mieszkańców Zamościa lub spiskowców z okolicznych miejscowości. Do tego jednak nie doszło. Dnia 27.VI.1863 r. podjęto decyzję o zamknięciu w twierdzy udręczenia zmniejszającej odporność aresztowanych. W tej sytuacji, ks. B. Pańnikowski 17.VI.1863 r. poderżnął sobie gardło i zmarł (według innej wersji został zamordowany). Podobny los spotkał K. Walentowicza. Wkrótce po śmierci ks. B. Pańnikowskiego zmarł on w twierdzy na skutek obłąkania.

Wypadki chełmskie były dotkliwym ciosem dla organizacji narodowej w Lubelskiem. Aresztowania unicestwiły całe bez mała kierownictwo organizacji wojewódzkiej. W więzieniach znaleźli się prawie wszyscy przedstawiciele władz wojewódzkich z wyjątkiem części naczelników powiatowych i miejskich oraz setników. Sieć spiskowa uległa w poważnym stopniu zerwaniu.

Przygotowanie Lubelskiego do powstania przeszło po tych bolesnych wydarzeniach w ręce K. Gregorowicza, którego Centralny Komitet Narodowy mianował naczelnikiem województwa lubelskiego na miejsce ks. B. Pańnikowskiego. Wspomagał go nowy naczelnik miasta Lublina Apolinary Piuciński. Z ramienia warszawskich władz spiskowych nad odbudowaniem organizacji w Lubelskiem czuwał Leon Frankowski, jako komisarz wojewódzki.

Nauczeni doświadczeniem, do czego prowadzi zbyt rozgałęziona i długa działalność spiskowa, konspiratorzy lubelscy dążyli do jak najszybszego wybuchu powstania. Przedstawiciel setników Lublina oświadczył wprost K. Gregorowiczowi, „...że jeżeli władza wyższa nie myśli nakazać powstania, w takim razie oni wywołają walkę zbrojną na własną rękę”. Nie ulega chyba wątpliwości, że ta postawa spiskowców w jakiejś mierze sprawiła, iż L. Frankowski na zjeździe komisarzy wojewódzkich w Głuchówku w styczniu 1863 r. opowiedział się za tymi, którzy domagali się rychłego wybuchu powstania.

Wiadomość o terminie powstania przywiózł L. Frankowski do Lublina 18.I.1863 r. Niezwłocznie przekazano ją do organizacji terenowych. Konspiratorzy lubelscy oczekiwali teraz niecierpliwie nocy z 22 na 23 stycznia 1863 r. A gdy ona nadeszła, wzięli liczny udział w powstaniu. Zbrojna działalność powstańcza w Lubelskiem w latach 1863-1864 należała do najbardziej rozwiniętych w kraju.



Stare kamieniczki w Białej Podlaskiej

W podlaskim miasteczku

(Dokończenie ze str. 6)

nia lekarska. Coraz głośniejsze mówi się o budowie fabryki mebli. Przy Białskich Zakładach Przemysłu Drzewnego, które swe wyroby wysyłają za granicę, otwarto piękne kino i klub świetlicy. Na drugim krańcu miasta powstaje nowa dzielnica mieszkaniowa. Zbudowano tutaj kilkadziesiąt domków jednorodzinnych i budoje się spółdzielcze osiedle „Zgoda”. Oprócz osiedli mieszkaniowych zbudowano w Białej szereg innych obiektów: nowoczesny zakład mleczarski z proszkownią mleka o zdolności przerobowej 35.000 litrów mleka dziennie, zakłady metalowe przemysłu terenowego, hale produkcyjne spółdzielczości pracy, piękny stadion sportowy. Budoje się: restaurację i kawiarnię PSS, internat międzyszkolny, automatyczną centralę telefonów, panoramyczny kino-teatr letni. Miejscowi działacze kulturalni po dokonaniu odpowiednich zabiegów konserwatorskich urządzią w siedemnastowiecznej, zabytkowej wieży wartowniczkiej muzeum regionalne Podlasia.

Biała Podlaska stała się obecnie ożywionym ośrodkiem gospodarczym i kulturalnym północnej części województwa lubelskiego. Swoją prężny rozwój i dynamizm zawdzięcza energicznemu kierownictwu politycznemu i gospodarczemu powiatu. Inicjatywa i przedsiębiorczość wielu mieszkańców tego miasta, ich społeczne działania, kierowane umiejętnie i celowo w nurt aktywizacji, przyniosły i przyniosą pozytywne owoce. Początki tej działalności nie były jednak łatwe.

Zażywną postacią Józefa Furmana, cenionego pedagoga i działacza społecznego, znają doskonale wszyscy mieszkańcy Białej Podlaskiej. Kiedy w roku 1950 gruchnęła wieść, że przy ulicy Swierczewskiego budowany będzie okazały gmach Technikum Finansowego, kręcono z niedowierzaniem głowami. Wyjazdy do Lublina, Warszawy, konferencje na tzw. wyższym szczeblu, dyskusje, rzeczowa argumentacja, pełne niepokojów oczekiwania i nowe wyjazdy, konferencje... zakończyły się sukcesem. Miasto otrzymało nowoczesny, pierwszy od chwili wyzwolenia kraju, obiekt z centralnym ogrzewaniem, instalacją wod.-kan. Ile godzin spędził Józef Furman na placu budowy, ile czasu poświęcił na starania o limity, kredyty, dokumentację techniczną, materiały budowlane, a nawet o fachowców — to pozostanie już jego tajemnicą. Dowiódł jednak mieszkańcom miasteczka, że działanie przynosi wyniki. Jeśli ktoś przypuszczał, że Józef Furman spoczął po tym fakcie na przyszłowiejskich laurach, mylił się wielce. Obecnie dobiegają końca roboty budowlane przy internacie międzyszkolnym dla młodzieży z pobliskich osad i wiosek, dojeżdżającej do szkół średnich czy mieszkającej kątem na tzw. stacji. W roku bieżącym przekazano do użytku piękny stadion sportowy. Tym razem przy pokonywaniu trudności inwestycyjnych i budowie tych obiektów pomagali już i inni działacze społeczni.

Pamiętny sylwestrowy bal w salach nowego gmachu Technikum Finansowego (obecnie Ekonomicznego) zainaugurował jak gdyby początek nowych dni Białej Podlaskiej. Społeczny Komitet Budowy Przychodni Dziecięcej w osobach: Zofia Dębska, Kazimierz Iwanicki, Adolf Mironiuk, Lucjan Bukała, Tadeusz Szudejko i inni zabrał się energicznie do pracy. W dniu 1 września 1959 roku jako pomyślnie Tysiąclecia oddano do użytku społeczeństwu piękny i nowoczesnie wyposażony budynek przychodni i lekarskiej poradni dziecięcej.

„Nasze miasto świadczy o nas, o naszej kulturze” hasło to nie było czczym frazesem dla mieszkańców Białej. Kiedy po raz pierwszy Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Lublinie ogłosiło w 1959 roku konkurs czystości i estetyki miast i osiedli Lubelszczyzny, mieszkańcy Białej zabrali się ofiarnie do pracy zdobywając dwukrotnie pierwsze miejsce w tym konkursie, przed Lublinem, Chełmem, Zamościem. Miasto zmieniło się nie do poznania. Nawet świąteczni goście wyrażali głośno swój podziw i zachwyt. Wzorowa czystość ulic, kolorowe elewacje budynków, estetyczne szyldy, wystawy i wnętrza sklepów, jarzeniowe i neoneowe oświetlenie, trawniki, kwiatniki, zieleńce, fontanna na Placu Wolności i miejska polewaczka... samochodowa.

PEWNEGO styczniowego dnia 1959 roku mieszkańcy Białej Podlaskiej przeżywali przyjemną sensację. Oto na dachu jednej z niepozornych kamieniczek przy ulicy Prostej pojawiła się telewizyjna antena. Lotem błyskawicznej poczty pantoflowej rozszedła się wieść, że trzech miejscowi radioamatorzy: Ryszard Maksymowicz, Adolf Mironiuk i Józef Skolimowski przeprowadzają próby odbioru programu telewizyjnego z Warszawy. Bardzo niecierpliwie i ciekawscy obywatele pukali codziennie do mieszkania przy ulicy Prostej, by dowiedzieć się, jak to jest naprawdę z tą telewizją w Białej. Wbrew twierdzeniom wszystkich pesymistów okazało się, że próby trzech zapaleńców uwieńczone zostały częściowym powodzeniem. Wprawdzie odbiór programu telewizji warszawskiej nie był idealny, jednakże w niektórych dniach był on bez zarzutu. Co stanowiło pewnego rodzaju rewelację wobec tego, że odległość między Warszawą a Białą Podlaską w prostej linii wynosi około 150 km.

Próby nad udoskonaleniem odbioru, mimo trudności w otrzymaniu kabla ekranowego i braku konkretnych wskazówek co do montażu i synchronizacji poszczególnych elementów odbiornika i anteny — trwały nadal. Ambicją i celem białskich „pionierów telewizji” było udostępnienie dobrego odbioru programu telewizyjnego nie tylko mieszkańcom Białej, ale również mieszkańcom podlaskich wiosek i osiedli, dla których telewizja byłaby w długie jesienne i zimowe wieczory przyjemną i pożyteczną rozrywką.

Dzisiaj antena telewizyjna w mieście i powiecie Biała Podlaska nie należy do osobliwości. Sklep Zakładu Usług Radiotechnicznych sprzedaje dziennie kilka odbiorników telewizyjnych (czyli wlicie, jest w tym zasługa stacji przekazywającej w Bożym Darze).

Tak to potoczyło się żywym nurtem życie mieszkańców Białej Podlaskiej.

Jerzy Sroka

Rzeszowskie wystawy

RENATA NIEMIRSKA-PISAREK

Cezary Kotowicz
„Krajobraz w Szczytnie”
(tusz)



W MALYM miasteczku, zresztą bardzo pięknym, położonym w uroczym zakątku Ziemi Rzeszowskiej, żyje i tworzy artysta - plastyk Tadeusz Turkowski.

Po zdobyciu studiów artystycznych w Krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych oraz Akademii Sztuk Pięknych w Budapeszcie powrócił do rodzinnego Sanoka, jako artysta o skrytylizowanych dążeniach twórczych. Tadeusz Turkowski począwszy od roku 1956 bierze bardzo żywy udział w wielu wystawach organizowanych w Warszawie, Krakowie, Radomiu, Opatowie, Sanoku i we wszystkich wystawach organizowanych przez rzeszowski oddział ZPAP. Jest artystą bardzo czynnym i twórczym. W roku 1959 otrzymał Nagrodę Województwa Rzeszowskiego w dziedzinie plastyki.

Obecna wystawa Tadeusza Turkowskiego, zorganizowana przez BWA w Państwowym Teatrze im. W. Siemaszkowej w Rzeszowie, obejmuje prace malarskie i graficzne z lat 1957-1962 i jest jego drugą indywidualną wystawą.

W twórczości Tadeusza Turkowskiego tematem dominującym jest pejzaż Ziemi Rzeszowskiej, zespoły architektury miasteczek ukomponowanych w podkarpacki krajobraz, a nade wszystko Sanok, niepokojąca uroda jego uliczek, ich specyficzna atmosfera.

Tadeusz Turkowski czerpie inspirację z obiektywnej rzeczywistości, transponując ją jednak w sposób osobisty i twórczy. I chociaż przetwarzanie form odbywa się na drodze konfrontacji z rzeczywistością, ekspresja przeżycia indywidualnego jest chyba decydująca.

Wśród wystawionych prac poczesne miejsce zajmuje rysunek i grafika. Rysunki Tadeusza Turkowskiego są ściśle związane z pracami graficznymi, tworzą kompozycje o walorach artystycznych równie istotnych i ważnych jak w grafice.

Osobowość twórcza artysty wyraża się w sposób bardzo pełny w rysunku zdyscyplinowanym, szczerym, pełnym wewnętrznego napięcia, pozbawionym ozdóbek i zbędnego gadulstwa. Tworzy on samoistne kompozycje rysunkowe, nadając im charakter bądź malarski i opisowy, bądź wyraźnie linearny i syntetyczny. Wartość interpretacji wizualnej jest bezsporna. Treści wyrażają się w układach zwartych i celowych, wyrażonych kompozycyjnie. Dwanaście bardzo interesujących plansz

z teki „Sanok w grafice Tadeusza Turkowskiego” ukazuje piękno tego miasteczka, jego klimat i nastrój w sposób zaangażowany, emocjonalny i bardzo osobisty.

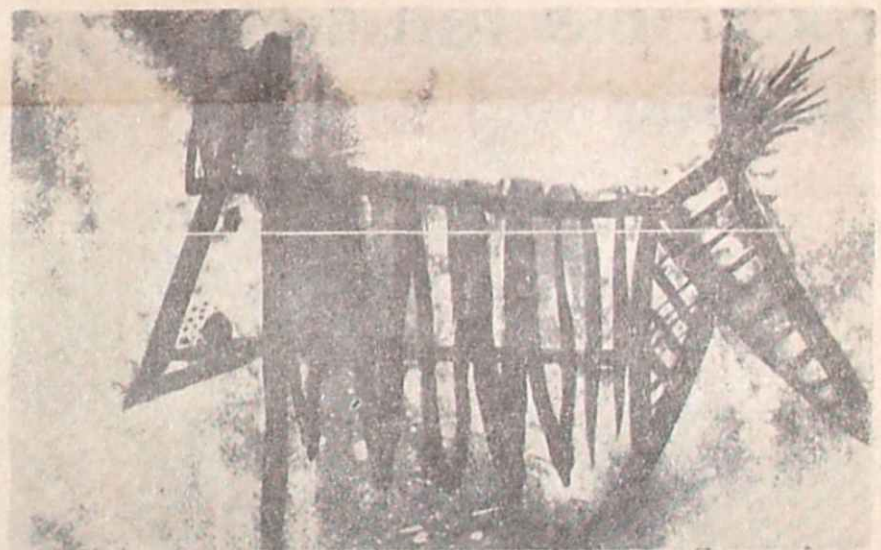
Prace malarskie Tadeusza Turkowskiego oscylują również przeważnie wokół tematyki pejzażowej, choć nie brak tu i kompozycji figuralnych. Paleta artysty jasna w pejzażach, rozredzana świetlistymi plamami, staje się w kompozycjach figuralnych przyciemniona, w tonacjach ściemnianych. W obrazach swych artysta przetwarza rzeczywistość we własną wizję plastyczną, nie rezygnując jednak z przekazywania zanotowanych przez oko wrażeń.

Wyżej omawianą ekspozycję poprzedziła wystawa prac Stanisława Szmuka, który znany jest przede wszystkim ze swego dorobku w dziedzinie malarstwa architektonicznego. Stanisław Szmuc upra-

wia jednak oprócz malarstwa monumentalnego i związanych z nim mozaiki i witrażu, malarstwo sztalugowe i grafiki.

Zgromadzone na wystawie prace malarskie i graficzne, powstałe w latach 1941-1962, ukazują bogactwo poszukiwań twórczych tego artysty. Uparcie dążenia w kierunku rozwiązań formalnych chronią malarstwo Stanisława Szmuka od skostnienia i manieryzmu, czyniąc je wciąż młodym i żywym. Szczególną cechą jego twórczości są wartości kolorystyczne, szczerze przeżyta oraz nastrój o bardzo lirycznych akcentach.

Stanisław Szmuc miał już trzy wystawy indywidualne: w roku 1939 w Caracal w Rumunii, w 1947 w Łańcucie, w 1957 w Przemyslu. Bierze udział ponadto we wszystkich wystawach rzeszowskiego Oddziału ZPAP w Rzeszowie oraz w wystawach okręgowych ZPAP w Krakowie.



Jerzy Majewski — Kundel (tech. mieszana).

Konferencja młodych inteligentów

(Dokończenie ze str. 2)

teren regionu, poprzez wydawanie specjalnych biuletynów zawierających wykazy wolnych miejsc pracy wraz z krótką charakterystyką środowiska,

— popularyzacja regionu i województwa szczególnie poprzez pokazanie perspektyw rozwoju gospodarczego i kulturalnego, ukazanie możliwości turystycznych poprzez wydanie specjalnego informatora.

Właściwym czynnikiem wpływającym na bardziej równomierne rozmieszczenie kadr z wyższym wykształceniem, powiązanie uczelni z zakładem, studenta z praktyką, jest system stypendiów fundowanych. Istnieje potrzeba dalszego udoskonalenia tego systemu między innymi poprzez:

— eliminowanie biurokratycznego i administracyjnego podejścia do rozdziału stypendiów fundowanych,

— nawiązanie ściślejszych kontaktów zakładów pracy ze stypendystami, większe zainteresowanie stypendystami w czasie studiów, a w szczególności praktykami stypendystów w zakładzie pracy.

W większym niż dotychczas stopniu problemem interesującym zakład pracy winny być przedmiotem prac magisterskich pisanym przez studentów stypendystów, co byłoby korzystne z punktu widzenia gospodarki narodowej.

Z uwagi na dotychczasowe doświadczenia wysuwają się następujące postulaty:

- konieczność zmiany stosunku zakładów pracy do stypendiów premialnych,
- konieczność określania miejsca pracy i miejscowości już w ofercie przy stypendiach fundowanych przez WRN i PRN,
- konieczność zmiany stosunku fundatorów do swoich studentów w kierunku rzeczywistego przywiązania ich do przyszłego zakładu pracy i środowiska,
- konieczność weryfikacji przepisów prawnych o stypendiach fundowanych w kierunku regulowania takich spraw, jak np. małżeństwo stypendysty, choroba.

II. Wnioski w zakresie stażów pracy

Staż pracy stanowi poważny element związania z praktyką, adaptacji absolwenta do konkretnych warunków pracy. W swej obecnej postaci nie spełnia założonego celu. Rozważenia wymaga zagadnienie ewentualnego włączenia stażów pracy w system studiów, w czasie których byłby one kontrolowane przez pracowników nauki. Notuje się często przypadki nie przestrzegania przez zakłady pracy przepisów stażów, co wyraża się między innymi w zjawisku zatrudnienia absolwentów na innej zasadzie niż umowa o staż pracy.

Powysze uwagi skłaniają do rozważenia pewnych zmian, ewentualnej weryfikacji przepisów o stażach pracy, które miałyby na uwadze:

- polepszenie sytuacji materialnej stażysty,
- uelastycznienie długości stażu pracy w zależności od zdolności, kwalifikacji absolwenta, potrzeb zakładu i wypełniania obowiązków służbowych nałożonych na stażystę.

WNIOSKI SEKCJI INICJATYW SPOŁECZNO-KULTURALNYCH

— Postuluje się dążenie do pełnego zaktywizowania inteligencji działającej w określonym środowisku, wyeliminowanie zjawis-

ska „zatomizowania się” grupy inteligencji. W tym celu należy zorganizować kluby inteligencji, spotkania, wycieczki oraz różne formy życia towarzyskiego i kulturalno-oświatowego.

— Młoda inteligencja może i powinna być motorem działania w zakresie czynów społecznych w dziedzinie oświaty, kultury oraz w zakresie inicjatyw natury społecznej i gospodarczej. Na szczególną uwagę zasługują takie formy, jak: uniwersytety powszechne i kluby, szkoły zdrowia, kursy techniczne, wystawy, wycieczki do zakładów pracy, kulturalne zabawy itp.

— Podejmowane czyny społeczne powinny być uzgadniane z odpowiednimi władzami celem uniknięcia strat i ewentualnego dublowania wysiłków. Należy inicjować te prace, które mają szansę pełnej realizacji.

— Warto zwrócić szczególną uwagę na wielkie możliwości działalności społecznej młodej inteligencji w środowisku rodzinnym. Dotyczy to studentów oraz osób mieszkających i pracujących na innym terenie.

— Organizacje młodzieżowe: ZSP, ZMS, ZMW i studenckie kółka naukowe, mając na uwadze przygotowanie przyszłej kadry absolwentów do pracy społecznej, winny popularyzować na uczelniach zagadnienia z zakresu prakseologii, socjologii, psychologii społecznej, metodyki pracy k.o. — oraz organizować kluby filmowe, kółka techniczne itd. Podkreśla się znaczenie realizacji postulatów angażowania studentów do działalności kulturalno-oświatowej, co wykształca umiejętności i nawyki pracy społecznej wśród studiującej młodzieży. Proces przygotowania do pracy społecznej należy rozpocząć już w szkole średniej. Dotyczy to szczególnie liceów pedagogicznych.

— Należy ożywić działalność rejonowych ognisk studenckich, studenckich klubów regionalnych (np. Klub Puławiaków) oraz

NIE TYLKO specjalizacja

JOZEF KRZYŻANOWSKI

PRZYZWYCZAILISMY się do tego, że lekarze na ogół leczą. Lekarz artysta, pisarz czy plastyk, to w — czasach daleko posuniętej specjalizacji zawodowej — zjawisko, zdawałoby się rzadkie. Temu dość powszechnie panującemu przekonaniu zaprzeczyla zorganizowana z okazji XVIII Międzynarodowego Kongresu Historii Medycyny w Muzeum Narodowym w Warszawie wystawa pt.: „Twórczość malarska i literacka lekarzy”. Zgrupowano na niej prace 33 lekarzy zagranicznych i 25 polskich, w sumie około 400 eksponatów z dziedzin plastyki i literatury.

Literacki dział wystawy potraktowano syntetycznie i wyraźnie skróciło, komponując go tak, by przypominał rzeczy na ogół znane, o których jednak często się zapomina. Wystawa przypominała, że lekarzami byli Rabelais, Schiller, Keats, Czechow, Conan Doyle, Cronin, Boy-Zeleński i inni. Wszyscy oni zasłynęli dzięki drugiemu „zawodowi” — literaturze (jeśli o pisarstwie jako o zawodzie mówić można), byli bowiem przede wszystkim pisarzami, a dopiero „później” lekarzami.

Inaczej sprawa wygląda w plastyce, która zajmowała znacznie więcej miejsca na wystawie. Cechą charakterystyczną działu było to, że gros prac stanowiły dzieła tworzone przez lekarzy czynnych zawodowo, a nawet znanych z wybitnych osiągnięć na polu medycyny. Przykładowo wy-

(Dokończenie na str. 15)

„W I E K I” w „Interludiach”

(Dokończenie ze str. 4)

Opowiadania ułożone w tomiku na kształt plątków wzorzystej rozety gotyckiego architravu wokół przedmiotu admiraacji i sentymentu autorki, którym jest — Lublin. W dwudziestu nieomal m i g a w k o w y c h, s t y c h o w a n y c h u m i a r k o w a n y c h a r c h a i z o w a n a p r o z a — u t w o r a c h, P l a t t a z a r y s o w u j e n a j b a r d z i e j i s t o t n e k o n t u r y z d a r z e n o d z a ł o z e n i a g r o d u d o k o n c a R z e c z y p o s p o l i t e j s z l a c h e c k i e j, w l a c z a j a c w t o k t y c h o p o w i a d a n i s y l w e t k i p o s t a c i m a j a c y c h s t y c z n o s z z L u b l i n e m l u b z n i e g o p o c h o d z a j a c y c h. O p i e r a j a c s i e n a f a k t o g r a f i i l i c z n y c h ź r o d e ł n a u k o w y c h, w y b r a ł a n a j b a r d z i e j j e j w y o b r a z i n i o d p o w i a d a j a c e p o s t a c i e o r a z s z c z e g o ł y r o z w o j u ś r o d o w i s k m i e s z c z a n s t w o, Ż y d y, a r i a n i e i t p.), p r e d s t a w i a j a c j e z „n e r w e m”, l e c z b e z n a t r z e t w a i p e d a n t e r i i, w i n t e r e s u j a c o s k o m p o n o w a n y c h r a p s o d a c h, z k t ó r y c h k a d z y o d n a c z a s i e w l a s n y m r y t m e m.

Te na wpół fantastyczne obrazy, związane ściśle z losami miasta, rzucone zostały na wyraziście podkolorowane tło dziełowej Rzeczypospolitej. Pulsują życiem i prawdą. Stają się, mimo wielkiej odległości w czasie, bliskie i zrozumiałe dzisiejszemu czytelnikowi, ze wszystkimi swymi wadami i zaletami, do dziś „aktualnymi”.

Wśród wielu cenniejszych dzieł monograficznych i powieściowych na tematy historyczne — ta mała książeczka wydaje się wnosić pewną nowość, jest nią m i u i a t u r a, n o w e l k a h i s t o r y c z n a, n o w e l a t a k w z a ł o z e n i u s w y m r a c e j t r u d n a d o p r z y j e c i a w l a s n i e p r z y t a c y t a c e, k t ó r a w y m a g a s z e r o k i e g o, r o z b u d o w a n e g o n u r t u n a r r a c j i. I j e s z c z e j e d n o „n o w e”, c o n i e k t ó r y m s i e p o d o b a, i n n y m n i e o d p o w i a d a — p r a w i e k a d z e o p o w i a d a n k o k o n e c z y j a k b y o d c i e t a o d c a ł o s c i p u e n t a k i l k u o d a u t o r s k i c h z d ań, z u p e l n i e w i n n y m n a s t r o j u, t o n a c j i i j e z y k u.

Najważniejszym mankamentem książki jest moim zdaniem, zbyt niska zróżnicowanie w czasie — archaizacja językowej. Należało, wydaje mi się, mocniej zaznaczyć różnicę między wiekiem dwunastym a osiemnastym. Ponadto zdarzają się autorce i drobne niedociągnięcia w szczegółach historycznych. Ale w zasadzie nie zniechęcała to ogólnego obrazu tamtych czasów.

Ta kunsztowna, skondensowana proza sugeruje czytelnikowi nastrój, o który autorce musiało chodzić, i z pewnością niejednego lublinianina zaprowadzić może do sal bibliotecznych i archiwów dla dociekania i rozwijania w coraz szerszym zakresie wiadomości o rodzinnym mieście. Książki tego gatunku są potrzebne i pożyteczne, czego zresztą dowiodło szybko zniknięcie „Wieków” z księgarń nie tylko lubelskich.

Jadwiga Kuczyńska

miedzynacelnianych grup regionalnych. Podkreśla się jednocześnie wagę pomocy władz powiatowych i partyjnych w organizowaniu ROS-ów.

— Młoda inteligencja winna inicjować prace badawcze w terenie włączając się z towarzyszami regionalnymi. Postuluje się także podejmowanie niektórych inicjatyw wspólnie z kółkami naukowymi studentów. Cenna byłaby inicjatywa władz uniwersyteckich i zakładów naukowych zainteresowania studentów magistrantów, problematyką regionów: białostockiego, kieleckiego, lubelskiego i rzeszowskiego.

— Należy podnieść rangę pracy społecznej przez popularyzowanie dorobku młodych działaczy m. in. w prasie, w radio, filmie i telewizji.

— Postuluje się organizowanie narad z przedstawicielami młodej inteligencji działającej w określonym środowisku (np. wieś, osiedla robotnicze, PGR itd.) w celu przeanalizowania skuteczności dotychczasowych form działania i opracowania wniosków usprawniających pracę.

PROFILE

AUTONOMICZNA KOLUMNNA MŁODYCH

„G o n g 7.30”

NELLY ZACHAJKIEWICZ

— „Tu port bez snów. Tu port bez snów...” — czyli tu: Gong 7.30 w programie poetyckim pt. „Nostalgia”.

Gong 7.30 to teatrzyk studencki. Jedyny na UMCS, powstały w ubiegłym roku akademickim z inicjatywy studentów filologii polskiej. Skupił wokół siebie wykonawców i sympatyków z Wydziału Humanistycznego.

Jakokolwiek w ciągu tego roku zmieniały się zamierzenia, plany i wykonawcy, to jednak teatrzyk istnieje i stanowi jeszcze jedno źródło konkurencji dla działających w lubelskim środowisku studenckim — teatrzyków, kabaretów i innych form działalności artystycznej. W obliczu formalego jubileuszu należy obiektywnie stwierdzić, że ten młody teatrzyk ma za sobą dużo wrażeń, doświadczeń — przyslowiowych upadków i wzlotów. Grupę ludzi skupionych wokół „Gongu” cechuje duży optymizm i energia. Nie będzie to głośnie, jeżeli pod uwagę weźmiemy fakt, że ci młodzi entuzjści zaczęli w trudnych warunkach. Nie udało znaleźć autorów i wykonawców, muzyków i plastyków.

Pierwszy program pt. „Idefons i inni” był poetyckim coctalem okolicznościowym. Nie brakowało nawet drżących głosów początkujących solistów. Program ten może nie najlepszy pod względem kompozycji i wykonania był startem teatrzyku. Pozwolił na przezwyciężenie tremy, oswojenie z deskami i publicznością. A publiczność, trzeba przyznać, była różnorodna — począwszy od środowiska studenckiego, kończąc na występach w fabrykach, z kładek pracy, szkołach, a nawet w wiesieniu.

Nawet wtedy, gdy im się coś nie udawało, potrafili nawisnąć kontrkt z widownią i wytworzyć atmosferę wzajemnego zrozumienia. Serdeczny stosunek odbiorców dawał stuchy i dopinguował wykonawców.

W końcu, dzięki kierownikowi Domu Kultury ZOR Zachód znalazła się sala, w której odąd odbywały się próby, dyskusje i występy „Gongu 7.30”. Nota bene na początku istnienia teatrzyku próby odbywały się w późnych godzinach wieczornych w salach wykładowych, w mieszkaniach prywatnych, a w pogodne dni w parku.

W krótkim czasie teatrzyk przygotował wieczór poetycki poświęcony twórczości partyzanckiej.

Wielkim przeżyciem dla „Gongu” była premiera programu pt. „Nostalgia”. Program ten, oparty na tekstach własnych, był dość śmiały w treści i formie. Szkoda tylko, że wystawiony w krótkim czasie przed sesją egzaminacyjną nie dotrził do szerszego kręgu odbiorców.

W czasie wakacji teatrzyk opracował sztukę J. Różewicza pt. „Świadkowie”, drukowaną w „Dialogu”. W odpowiedzi nr list kierownika teatrzyku — Andrzeja Rozkina, autor nie pozwolił na wystawienie tej sztuki. Pomijając względy, jakimi się autor kierował, należy przypuszczać, że interpretacja utworu przez młodych odbiorców sztuki mogłaby być w pewnym sensie ciekawa.

„Gongowcy” jednak nie zrażają się niepowodzeniami. Obecnie próby odbywają się w Studenckim Domu Usługowym i jest nadzieja, że na tym terenie będzie można wystawić nowy program.

W tym roku akademickim przewidziano również wieczór poświęcony „Kwiatom polskim” Julii Tuwima. Teatrzyk ma zamiar wystawić jednoaktówkę oraz program oparty na tekstach własnych. W związku z tym w dalszym ciągu poszukują autorów i wykonawców. Do ostatecznych osiągnięć „Gongu 7.30” powrócimy w styczniu nowego roku.

RYSZARD MIERNIK

Kielce

Niedrogo

Z frasunku
Wystrugano Chrystusika
Z dramatu
Pozostał Twardowski
Na kogucie
Z nienawiści
Wziął początek artykuł
Z myśli nad życiem
Wiersz
Czas wyprzedzaje buble
Po pięćdziesiąt złotych sztuka
Za czym gonisz człowieku

TADEUSZ GRZEGORZEWSKI

Śmierć Jesienina

Jeśli dawniej mnie bili w głowę,
teraz we krwi mam całą duszę.
S. Jesienin

I nikt jej nie zatamował

Choć dzisiaj mówimy wielki
zachwycamy się „Listem do matki”
„Pieśnią o suce”
wierszem o jesiennych liściach

A Ty byleś szkarlatną fontanną
A Tobie brakowało oddechu
W harde serce wciąż leciały noże
które rzucał gdzieś zza węgła Czas

Nie umiałeś podać ręki życiu
nie umiałeś rozmiąć swej dumy na
[drobne

Sam oddałeś się w ręce wieczności
aby sznurkiem od walizki
zdławiła Twój krzyk

Sledząc historię powstania i rozwój „Gongu 7.30” należy spodziewać się, że ten ambitny teatrzyk nie zginie śmiercią naturalną i nawiąże coraz liczniejsze kontakty ze środowiskiem lubelskim, a może nawet poza nim.

Działalność „Gongu 7.30” — to jeszcze jeden dowód żywotności lubelskiego środowiska studenckiego, na które się często narzekano.

DO MŁODYCH

Redakcja „Profilów” zwraca się do młodych autorów (prozaików, poetów, publicystów) z prośbą o nadsyłanie swych utworów i prac i nawiązanie z nami ściślejszych kontaktów. Redakcja „Profilów” pragnie, by strona młodzieżowa w „Kamieniu” stała się przeglądem twórczości całej młodzieży literackiej Lublina i Lubelszczyzny, miejscem wymiany poglądów i dyskusji na interesujące nas problemy. W miarę możliwości będziemy się starali o publikowanie jak największej liczby nowych nazwisk, utworów tych autorów, którzy jeszcze nie debiutowali w prasie literackiej. Prosimy więc o nadsyłanie swych prac pod adresem „Kamień”, z dopiskiem: „Profile”.

Harasymowicz — nie ten sam

HENRYK PAJĄK

Wydaliśmy trochę książek
[trochę narobiliśmy wrzawy
Na młodych kolegów mówimy
ja ten szczeniak zielony
A może się kiedyś okaże
[ze ten laur nasz cały
Nie wart był tych ziemniaków
[pieczonych
(J. Harasymowicz „Ognisko” *)

JAK to czas leci. Jeszcze pięć lat temu byli młodzi, butni, burzycielscy, o starych, piszących z rymem rytmem, mówili: „A ten stary grafoman”. Jeszcze pięć lat temu byli młodym, świetnie zapowiadającym się pokoleniem, a teraz pojedynczo, cichutko wracają do domów liżąc poetyckie rany.

Jerzy Harasymowicz, któż nie zna tego nazwiska. Gdy sześć lat temu ukazały się „Cuda”, nazwisko ich autora stało się objawieniem: mówiło się z rozczuleniem o kędzierzawej głowie poety, nazywano się go w recenzjach „Harasymuszkim”, kreowało na nowego Mickiewicza, wysuwało ponad wszystkich współczesnych poetów, rozpoczynało od niego nową epokę literacką. Przyszły następne zbiory, które ugruntowały tę pozycję: „Powrót do kraju łagodności” (1957) oraz „Wieża melancholii” (1958).

Tymczasem nastąpił ponowny debiut tego poety — „Przejęcie kopii” (1958), w którym Harasymowicz wystąpił jako herold polskiej wersji nadrealizmu, posłusznie realizujący wydumane sugestie krakowskiego krytyka, Jerzego Kwiatkowskiego. W rozgwarze polemik, jakie wówczas rozgrywały się na łamach prasy literackiej, „Przejęcie kopii” było swego rodzaju skandalem: oto młody poeta staje się na siłę nadrealistą, by tylko sprostać życzeniom lansujących go krytyków — Jerzego Kwiatkowskiego i Kazimierza Wyki. Pierwszy z nich w słynnym artykule „Wizja przeciw równaniu” („Życie Literackie”, 1958, nr 313), a priori przyjmuje zasadę dychotomii literackiej, jako głównej prawidłowości rozwoju, na podstawie której po epoce racjonalnej, „klasycznej”, następuje epoka „romantyczna” i na odwrót.

Współczesną odmianę tego „romantyzmu” odkrył Kwiatkowski właśnie w twórczości Harasymowicza. Harasymowicz wierzył w to:

a w końcu
w radomskim
ktoś musiał zbudować
czerwony mur surrealizmu
(„Przyczynki”)

Na szczęście Harasymowicz szybko się opamiętał i znów powrócił do swoich giłw, kszężniczek, zajączków, krasnoludków i muchomorów.

Podobno rozwój prawdziwego liryka — to dialektyka poetyk, ale wyobraźnia, dyspozycje psychiczne, poetyckie Harasymowicza, były zdecydowanie ściślejsze, niż przypuszczali krytycy. Był to poeta ekspresjonistycznej baśni, snu, rzeczywistości widzianej oczami dziecka, poeta wyjątkowo „malarski”, w stylu Makowskiego. (Kwiatkowski odkrył jeszcze wpływ Boscha, Breughela, Dali, Ernsta, Raya, Chagalla!). Wyobraźnia meandryczna, poetycki narcyzm, aintelektualizm, absolutny sluch poetycki, wspomniana malarskość, według jednych stanowiły wady, ograniczenia tej poezji, według innych — nieprzemijające wartości. Stanowiły jednocześnie ramę tej poezji, mimo wszystko były jej wyróżnikami wśród fali nowych nazwisk.

Z ukazaniem się każdego następnego zbioru Harasymowicza wylaniało się pytanie: i co dalej, kiedy u tego dorosłego dziecka skończy się baśń, sen, groteska, dziecięca naiwność, kiedy zerwie z giliami, sowami, zajączkami, śpiącymi królewiami i krasnoludkami.

Przewidywania spełniły się jednak. „Cuda” były idyllą o świecie, bezkrytycznie radosną. „Powrót do kraju łagodności” — sentymentalna. „Wieża melancholii” — obok akcentów smutku — przyniosła niespodziewanie przerażenie światem, oglądanym jak makabryczny film. „Mit o świętym Jerzym” to świadomość poetyckiej donkiszoterii, z której Harasymowicz zdawał sobie sprawę już w „Powrocie do kraju łagodności” (1957):

ach nie będzie raj
raj będzie ale w bombaju
(„Koniec z rajem”)

Równoległe z tymi ewolucjami szły przemiany formalne. Poetyka Harasymowicza powraca do tradycyjnej formy. „Ma się pod jesień” (1962) — to zbiór wierszy, w których rym, rytm, układ zwrotkowy odgrywają zasadniczą rolę. Przemianom uległa również wyobraźnia poety; mimo pozostałości dawnych realiów, motywów — fantazjotwórstwo Harasymowicza nie nosi już śladów dawnego rozwichrzenia, podporządkowane jest bowiem refleksji. Postawa filozoficzno-życiowa obecnego Harasymowicza — to postawa młodego zgorzkniałca, w ciepłe kominka rozpamiętującego swoje wzloty i upadki:

Trzeba się trochę samemu
[z siebie pośmiać
Z tej swojej sadętej indyjskiej pieśni

Z tej twórczości jak
[z kociego miauczenia
Z tego tytułu poetyckiego feudała
[z tego księcia poezji
(„Książę poezji”)

Cóż nie nadajemy się na zawodowych
[glorifikatorów i girlanajstów
I nie zrobimy kariery pudrowanej
(„Ogród zaniedbany”)

Z punktu widzenia poetyckiej i filozoficznej ewolucji, taka postawa poety może wydawać się regresem — formalnym, życiowym. „Ma się pod jesień” — stwierdza zaledwie trzydziestoletni poeta, tak smutno, jakby za miesiąc miał umrzeć.

A co na to inni z jego pokolenia, z tego pokolenia, które z takim hukiem wdarło się do literatury w 1956 roku? Może i oni wkrótce zaczną się żegnać z młodością, by w miękkich pantoflach i szlafmycy oddać się kontemplacji nad marnościami tego świata?

Oto i mój przyjaciel wylegujący się
[na tyłach świata
Lenistwa weteran epikurejczyk
[borsuk znakomity
Egoizm szczerozłoty nie przestający
[nad sobą płakać
W gąszcz dni jesiennych
[z Goethem zaszyty
(„Portret z przyjacielem”)

Cóż — starość nie radość. Nie przesadzajmy jednak — trzydziestka — to przecież samo południe, jak powiedział T. Drewnowski na marginesie dyskusji o pokoleniu trzydziestolatków („Polityka” 1962 nr 49). Tym bardziej, że sam poeta wie, iż znajduje się dopiero w połowie drogi:

O jeszcze chciałbym tu coś poprawić
[zmienić
Przynieść maków z odpustu sierpnia
(„Jesienne porządki”)

Po cóż więc ta kokieteria?

ROBERT ROGOWSKI

Początek ognia

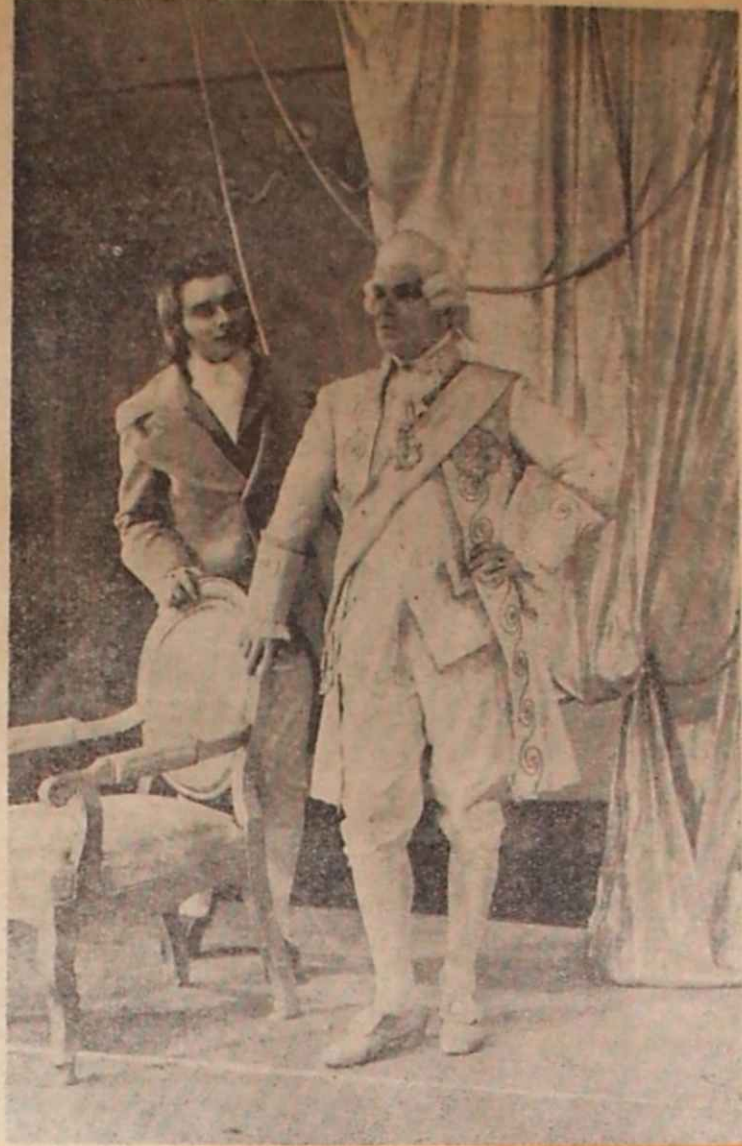
(FRAGMENTY POEMATU)

19.

Jesteś, tak blisko jesteś, że odpoczywam w twoim cieple, a ty nie wiesz, że kwiat ten jest z wiatru [i Ziemi.

Pozostań dla mnie jedną częścią kwiatu, kielichem jego, a lepiej pozostań nasieniem. Jeszcze raz będziesz mogła otworzyć się przede mną i jeszcze raz pozostań nasieniem. Ziemio dobra i Ziemio zła, która dajesz nam plody jak sól i jak sól jesteś potrzebna.

* Jerzy Harasymowicz: „Ma się pod jesień” PIW. W-wa 1962, str. 82.



Ze sceny lubelskiej

»Król i aktor« po dziesięciu latach

ANNA TATARKIEWICZ

SZTUKA Romana Brandstaettera „Król i aktor” wystawiona była po raz pierwszy w roku 1952; powstała w okresie nie sprzyjającym dramaturgii, w okresie, gdy wielu autorów, nie chcąc naginać się do sallowianych naówczas, a trudnych do przyjęcia wymogów — uciekało od tematyki i problematyki współczesnej na mniej grząski teren historii. Owocem tego swoistego eskapizmu, zrozumiałego w ówczesnych warunkach, była spora ilość dramatów historycznych, które pozostawały dosyć daleko od istotnych zainteresowań autorów i całkiem daleko od żywych nurtów współczesnej dramaturgii. Wydaje mi się, że do tej kategorii należy także „Król i aktor” autora zasłużonego i cenionego nie tylko w Polsce, ale tu wyraźnie skrepowanego nakazami chwili. Rzecz o Stanisławie Augustzie i Wojciechu Bogusławskim, opatrzonego podtytułem — „sceny dramatyczne” — to seria obrazów ilustrujących walkę Bogusławskiego o stworzenie polskiego teatru narodowego. Nie brak tu — oczywiście — wiedzy historycznej ani pietyzmu w jej przekazywaniu (jakkolwiek „ustawienie” pewnych postaci, choćby króla — jest na pewno dyskusyjne), brak natomiast wzięcia dramatycznego, którego nie okupi spora dawka patosu, prawdę powiedziawszy, dla współczesnych odbiorców dosyć niestrawnego.

Brak przekonania do wybranej sztuki utrudnia obiektywną ocenę pracy teatru. Utarła się opinia, że kiedy spektakl nie budzi większego zainteresowania, chwali się scenografią. Ale w danym wypadku scenografia Teresy Targońskiej zasługuje na wielkie pochwały niezależnie od wszelkich innych względów. Targońska — (jak dowiodła tego już niejednokrotnie) ma znakomite poczucie stylu, zdolność ewokowania stylów różnych epok środkami na pozór bardzo prostymi, a w istocie bardzo wyrafinowanymi. Te zalety występują właśnie w scenografi „Króla i aktora”. Dekoracje są pełne wdzięku i lekkości; kostiumy komponują się w harmonię barw, która stanowi prawdziwą roz-

kosz dla oka. Jedno jedyne male zastrzeżenie: wydaje mi się zbędne zastosowanie dwu emblematów w scenie z księciem Pepi.

A propos rozkoszy dla oka: nie jest nią na pewno nowa kurtyna Teatru im. Osterwy! W jakim magazynie warunków przecenionych oszczędna administracja teatru wygrzebała tę okropność nadającą się w sam raz na szlafrok mamy Dulskiej?

Rękę doświadczonego reżysera, Zofii Modrzewskiej znać w starannej pracy z aktorami; wszystkie postacie odtworzone zostały pieczołowicie, a nawet z precyzją. Marek Idziński dyskretnymi środkami zarysował sylwetkę uhamletyzowanego przez autora Stanisława Augusta; obojętne co prawda wolałabym bardziej ironiczne potraktowanie tej postaci, wydobyte z patosu ukrytego kabotyństwa. Idziński zaś gra cały czas zupełnie serio. W roli Aktora nie widziałem n'estety Stanisława Mikulskiego (jak fama niesie, aktor ten ma niebawem wystąpić na lubelskiej scenie jako Hamlet); dubluje go rolę Kazimierz Siedlecki — dał z siebie niewątpliwie bardzo wiele, ale młodemu aktorowi zabrakło jakiegoś prawdy wewnętrznej, która pozwoliłaby widzom uwierzyć w tę, dosyć schematyczną postać tyrowego „pozytywnego bohatera”. Wdzięczniejsze zadanie mieli odtwórcy „bohaterów negatywnych” (już to i w życiu, i na scenie łatwiej być lotrzykiem niż „świętym”...), wśród nich przede wszystkim Włodzisław Wiszniewski, wyrazisty Ryx, oraz Andrzej Chmielarczyk, który trafnie oddał charakter szczerzanego malwersanta, nie pozabawiając go zarazem ludzkimi namiętnościami. Ryszard Kolaszowski dał sugestywną sylwetkę hetmana Branickiego; Stanisława Zawiszanka była stylową Vaubanką; nie można tego nieestety powiedzieć o jej partnerze, Ludwiku Paczyńskim, który nie miał nic wspólnego ani z księciem, ani nawet z Pepim... Z „drętwą mową” Staszica dzielnie zmagali się od-

W 50 rocznicę Jej debiutu

(Dokończenie ze str. 3)

ków, zwierząt, kwiatów i fantastycznych aniołów. Jedne z nich — różne „czarownice”, „baby” i wróżki — są w swej „strukturze” zbliżone do ludzi i wśród nich żyją; ale tajemnicze pochodzenie, silna indywidualność i umiłowanie swobody, skazują je na prześladowania; są przez ludzi „trąpione” i „rozciganane na mękach”. Inne — to niezależni od ludzi przybysze z bardziej wzniosłego świata: jakież dziwne królowny, ptaki, duchy, istoty owiane dostojną wzniosłością, ukazujące się w atmosferze mistycznego skupienia i ciszy.

Gdy jarzębina dojrzewa przy jarzębinie,
idzie święta Róża aleją,
żadnej nie minie.

Anioły jej służą z ochotą,
przedą równiutką nie złotą;
potem się zbijają w gromadkę
i cała ich ciżba czeka,
a święta Róża powoli
jagody na nitkę nawleka.

(Święta Róża)

Ale najbardziej liczny jest światek uroczych, bliżej nieokreślonych, małych istotek: najróżniejszych „Latawiczek”, „Stworów”, „Strazydlaczek” i „Duszków”, tłumnie wciśniętych się w „normalne” życie człowieka; można je odnaleźć „na gałęziach lip” i „na klonie”, a także „we włosach rybaka”; czasem chodzą „po gzymsach wysokich”, a niekiedy chronią się w zacisze ludzkich izb.

Fantastyczne wiersze Ilakowiczówny w większym stopniu niż inne są zwierciadłem postaw filozoficznych poetki. Przemawia poprzez nie swego rodzaju kult indywidualności, tego, co odrębne, choćby było niezgodne z uartymi kanonami piękna i brzydoty, dobra i zła. Przemawia także poczucie tajemnicy istnienia, której niejako pełen jest świat. Owo — mówiąc słowami Czechowicza — „nieznane niejasne” odzywa się przejmująco w udziwnionych elementach przyrody i w ogromnej ilości fantastycznych istot, których pojawianie się na ziemi ma jakiś tajemniczy, ale niewątpliwie sens. Wreszcie — w żadnej chyba poezji nie wystąpił z tak wielką siłą, a zarazem w tak subtelnej formie tragizm i ból przemijania — wyrosłe z miłości do życia. Mówi o nim „Słowicie”, co u schyłku lata „zostało na świecie samo jedno żywe”, tragiczne usiłowania umierającego „Debu”, który daremnie „w próchno chce tchnąć życie”, czy śmierć „maleńkich istnień” — mieszkańców łąki, ścinaanej przez „Kosiarza”.

Poczucie tragizmu przemijania wydaje się być jednym z czynników postawy wewnętrzznego niepokoju,

zyskany dla sceny Stanisław Olejarnik; ładnie prezentowała się Irena Miszke jako Doroła. W pozostałych rolach wystąpili: Zygmunt Fok (Kleński), Witold Lisowski (Tremo), Tadeusz Zadora (Bacciarelli), Wanda Węslaw (księżna Nassau), Stanisław Stojko (Wojtaszek).

W sumie nie bardzo rozumiem, dlaczego teatr lubelski sięgnął po tę własną sztukę? Z myślą o młodzieży szkolnej? Osobiście wydaje mi się, iż jedyną aluzną polityką repertuarową w stosunku do młodzieży szkolnej jest zapoznanie jej przede wszystkim z wielką klasyką narodową, której w teatrze lubelskim wciąż jeszcze za mało (nawet zważywszy tak zwane a niebagatelne w danym wypadku trudności obiektywne, łączące się przede wszystkim z brakiem drugiej sceny). Jeśli zaś chodziło koniecznie o popularyzację postaci Bogusławskiego, to przecież jest on także autorem i — jak pamiętamy — sztuki jego były ostatnimi czasy wznawiane z dużym powodzeniem.

Roman Brandstaetter: „Król i aktor”, reżyseri: Zofia Modrzewska, scenografia: Teresa Targońska, kier. muzyczny: Ryszard Schreiter, asystent reżysera: Włodzisław Wiszniewski, układ tańca: Zbigniew Kwiatkowski.

dość istotnej dla znacznej części liryków Ilakowiczówny, niezależnie od ich „zewnętrznej” tematyki. Niepokój ów różne przybiera formy; czasem jest to tylko filozoficzne zdziwienie artysty prostymi z pozoru zjawiskami świata, czasem — buntownicza niezgoda na sprawy ustalone, a przecież trudne do przyjęcia. Często źródłem niepokoju i rozterki jest świadomość dualistycznego rozdarcia między dwiema sprzecznymi postawami wobec życia: poczuciem niezależności i mocy, które odrzuca z pogardą małe, ciasne szczęście, a tęsknotą do tego właśnie szczęścia, zamkniętego w czterech ścianach domowego zacisza.

O tym, że ów motyw, czy raczej podskórny nurt niepokoju, nie był przemijającym wykwitem mody epoki Młodej Polski z jej bezprzedmiotowym tragizmem czy dwudziestolecia obarczonego katastrofizmami, świadczą choćby jego powroty; nawet w liryce powojennej, która, jak wiadomo, w zasadzie zdobyła więcej pogodnej afirmacji życia, niepokój pojawia się od czasu do czasu. Niekiedy wprawdzie przechodzi w dojrzałą rezygnację, która jednak nie jest wolna od pętnej tragizmu:

Bezsilne ręce jesieni,
o-tyłe ręce zimy...
Nie zmieni się nic, nie zmieni,
nie stanie się to, o co prosimy...
Gałęzeczki będą wszystkie to szronie
aż wiosna sięgnie po nie.

(Poezje 1948—1954)

Tym, co zdecydowanie wyróżnia lirykę Ilakowiczówny i sprawia, że autorstwo każdego nieomal jej wiersza można z łatwością rozpoznać, jest oryginalny język poetycki; już w okresie Młodej Polski w załawkowej postaci, a w dwudziestoleciu w pełni staje ukształtowana artystyczna zasada tego języka: jest nią swobodna stylizacja na pewne „wzorce” językowe. Najbardziej znanymi dla poetki jest stylizacja, która idzie w kierunku prymitywizacji składni i słownictwa, a daje w efekcie poetycko przetworzone „odbicie” mowy dziecięcej, ludowej czy rzadziej — mowy minionych epok literackich.

Tym swoistym uproszczonym, pozbawionym myślowych skrótów i wyszukanych figur stylizacyjnych językiem, opartym na konkretnym słownictwie, przemawiają w wierszach Ilakowiczówny nie tylko dzieci i nie tylko przedstawiciele świata fantastycznego. Pod piórem poetki staje się on sprawnym narzędziem wyrażania najbardziej subtelnych, trudnych uczuć i myśli. Tym językiem analizuje kochanka swe zawile przeżycia, przy jego pomocy snuje bardzo logiczne wywody Zygmunt August, namawiany przez wielmożów do rozstania się z Barbarą; stylizowanym, „ogólnie uproszczonym” językiem opowiada się o ważnych, historycznych zdarzeniach, ale także o „nieważnych” drobniactwach otaczających nas co dzień.

W ten sposób rzeczy wielkie lub zawile zostają pozbawione patosu, sprowadzone do jakichś elementarnych form i zrównują się z „małymi”, które z kolei otrzymują piętno uroczyściej ważności. Bo stylizowany język poetycki Ilakowiczówny brzmi nie tylko tonem dziecięcej naiwności, ale i jednocześnie akordami uroczego recitativo. Dzieje się tak dzięki stosowaniu przez poetkę oryginalnej formy metrycznej: bardzo długiego wersu w połączeniu z wolnym akcentowcem i często brakiem puenty.

Ta prosta, surowa, a zarazem uroczyzna, niekończąca się melodia wiersza łączy i stapia niejako w jedną całość wszystkie sprawy tego i „tamtego” świata.

„Równouprawienie” wszystkiego w poezji jest jedną z cech współczesności liryki Ilakowiczówny.

Inne momenty, sprawiające, że twórczość ta jest nam dzisiaj wciąż bliska, to ów wewnętrzny niepokój bliski współczesnemu człowiekowi, i nade wszystko — szacunek dla czasu i czasu w martwych sloganach, lecz w płynącej „z głębi serca” poezji.

Danuta Zawistowska



Z Białej Podlaskiej na sceny obu Ameryk

W ROKU 1951 publiczność teatralna Santiago de Chile przeżywała niecodzienne wydarzenie. Jury państwowej nagrody teatralnej, przyznawanej każdego roku najlepszej aktorce sezonu, ogłosiła oczekiwany z niecierpliwością komunikat. Nagrodę za rolę królowej w sztuce Jean Cocteau „Dwugłowy Orzeł” przyznano cudzoziemce. Była nią nasza rodaczka, Lidia Próchnicka, która wyróżnioną rolę kreowała w świetnie, mistrzowsko opanowanym języku hiszpańskim. Wydarzenie to było bez precedensu w historii teatru Chile, nigdy bowiem dotąd tak zaszczytnej nagrody nie otrzymała w tym kraju cudzoziemka aktorka. Entuzjazm i radość Polonii amerykańskiej były olbrzymie. Na pierwszych stronach czołowej prasy obu Ameryk pojawiły się zdjęcia Próchnickiej, a krytycy teatralni porównywali grę tej niezwykle utalentowanej aktorki do wielkiej i niezapomnianej w Ameryce, Heleny Modrzejewskiej.

Zacni i zasłużeni pedagodzy oraz wychowankowie białskich szkół średnich pamiętają doskonale Lidie Próchnicką z lat szkolnych, które spędziła w Białej Podlaskiej, gdzie też urodziła się. Któż z nich w latach trzydziestych obecnego stulecia mógłby w najśmielszej wyobraźni przypuszczać, że ta właśnie uczennica i koleżanka za kilkanaście lat podbije serca publiczności obu Ameryk stając się sławną aktorką.

W czasie hitlerowskiej okupacji Lidia Próchnicka, której życiowym celem i ambicją było zdobycie aktorskiej sławy, studiowała pilnie w konspiracyjnym Instytucie Sztuki Teatralnej w Warszawie. Nauka aktorskiego kunsztu i wiedzy o teatrze odbywała się w prywatnych mieszkaniach pod kierunkiem profesorów — znanych i wybitnych polskich aktorów: Stanisławy Wysockiej, Zofii Małyńskiej, Stefana Jaracza, St. Stanisławskiego. W grupie studentów, z którymi uczyła się Próchnicka, Antonina Górecka, Włodzisław Gliński, było początkowo zaledwie pięć osób, potem trzy, później tylko pozostała sama Próchnicka. W tych okolicznościach młoda adeptka pięknej i trudnej sztuki miała możliwość doskonałego poznania tajników sceny i aktorskiego kunsztu. Lidia Próchnicka walczyła z okupantem w szeregach dzielnej powstańczej młodzieży Warszawy.

Jako absolwentka konspiracyjnej szkoły teatralnej debiutowała na scenie Teatru im. Juliusza Słowackiego w Krakowie w roli tytułowej sztuki Zapolskiej „Panna Maliczewska” i w roli Marianny w „Świętoszku” Moliere. W roku 1946 wyjechała do Paryża, by tam studiować sztukę — mimo — wzniesioną przez Jean Louis Barraulta i popularyzowaną przez Marcela Marceau. W Paryżu otrzy-

mała m. in. propozycję zagrania jednej z głównych ról w filmie o Mozarcie. Gdy realizacja tego filmu nie doszła do skutku, Próchnicka opuściła Paryż i wyjechała do... Chile.

W Santiago de Chile rozpoczęła dopiero swą trudną i wytrwałą, a jednocześnie niezwykle, drogę ku aktorskiej sławie. Tutaj właśnie odniosła pierwszy poważny sukces aktorski zdobywając nagrodę państwową Chile. Łatwość nauki języków obcych oraz zdumiewająca pracowitość i wytrwałość w dążeniu do upragnionego celu sprawiły, że Próchnicka w niespełna 8 miesięcy doskonale władała językiem hiszpańskim, co umożliwiło jej występy w teatrach Santiago, m. in. w „Sauvage” Anouilha i „Amfitrionie 38” Giraudoux.

Po sukcesie w „Dwugłowym Orle” Jean Cocteau, już jako znana i sławna aktorka zaproszona została do Hollywood. Tam po dwóch zaledwie miesiącach nauki języka angielskiego wystąpiła na scenie Xavier Theatre w roli tytułowej komedii Carlo Goldoniego „Karczmarzka” budząc swą żywą, pełną temperamentu grą nieklamany zachwyt widzów. Potem przysły następne wielkie role w sztukach wystawianych przez zespół Modjarka Players, m. in. rola Ade w sztuce Armanda Salacrou „Histoire de rire”.

Lidia Próchnicka nie zapomniła również o swych rodakach na obczyźnie. Wspólnie z aktorem i reżyserem Leonidasem Ossetyńskim trasą wynoszącą ponad 40.000 mil odbyła dwuletnie tournée artystyczne z programem „Od Fredry do Powstania”. W Chicago, New Yorku, Detroit, Buffalo, Ottawie, Toronto, Montrealu i wszędzie tam, gdzie w Ameryce mieszkają Polacy, Próchnicka i Ossetyński byli serdecznie witani i nagradzani burzliwymi oklaskami za recytacje utworów poetyckich.

W roku 1961 Lidia Próchnicka odniosła nowy, świetny sukces jako polska pilotka-akrobatka Lina w sztuce Shawa „Mezallians”. Obszerne i entuzjastyczne recenzje z tej sztuki, wiele miejsca poświęcając naszej rodaczce, zamieściły: „New York Times”, „Variety”, „Daily News”, „Villager” oraz dzienniki południowo-amerykańskie: „La Nacion”, „Diario Illustrado”, „Los Angeles Examiner” i oczywiście prasa polonijna. „Mezallians” z Lidia Próchnicką w głównej roli kobiecej grany był w Sheridan Square Playhouse na Broadwayu ponad 160 razy.

W kilka miesięcy później, w kwietniu br. nowojorski Mermaid Theatre, znajdujący się w centrum Manhattanu, dał premierę dwu polskich sztuk teatralnych, tłumaczonych na język angielski i połączonych jednym spektaklem, a mianowicie: „Na pełnym morzu” („At sea”) Sławomira Mrożka i „Powrót Alcesty” („Alceste comes back”) A. M. Swinarskiego. Obie sztuki wystawił i reżyserował L. D. Ossetyński, który już uprzednio zaprezentował nowojorskiej publiczności po 27-letniej przerwie sztukę polskiego autora — „Policjantów” Mrożka. W roli Alcesty wystąpiła Lidia Próchnicka, której wspaniałą grą zachwycali się liczni krytycy teatralni.

Lidia Próchnicka znana jest doskonale nowojorskim widzom z kilkunastu pełnometrażowych filmów fabularnych (produkowanych wyłącznie dla



telewizji) „Dante's Inferno” („Piekiło według Dantego”), „Neighbors” („Sąsiedzi”), „The beauty of Woman” („Piękność kobiety”). W ostatnich dniach października br. studio nowojorskiej telewizji nadało w programie ogólnostanowym spektakl teatralny według sztuki włoskiego pisarza Diego Fabrego pt. „The sign of fire” („Znak ognia”). Akcja tej sztuki toczy się współcześnie w Berlinie. Diego Fabri porusza w niej problemy pokojowego współistnienia narodów bez względu na różnice rasowe, światopoglądowe oraz ustroje polityczne. Jak pisze prasa nowojorska, w sztuce tej piękny popis aktorskiego kunsztu, koncert gry aktorskiej dała nasza rodaczka, Lidia Próchnicka, mając takich partnerów, jak: L. Ossetyński, pisarz i aktor murzyński Ossie Davis, meksykański aktor Romny Brent.

W książce pamiątkowej „The World Theatre” znajdują się zdjęcia Próchnickiej z sezonu teatralnego 1961/62, z jej świetnych kreacji aktorskich w sztukach: „Mezallians” Shawa i „Alceste comes back” („Powrót Alcesty”) A. M. Swinarskiego. Ta wybitna polska aktorka, sławiąca imię Polski w świecie, zasłużyła sobie na to, aby o jej sukcesach aktorskich pisała prasa krajowa. Niestety czyni się to nieczęsto.

Jerzy Sroka

GAWĘDY O FILMIE POLSKIM

Za dużo wody...

FILM polski „Mężczyźni na wyspie” jest filmem niedobrym. Na pewno nie wypadło to elegancko, że na premierze w Warszawie publiczność śmiała się gdzie nie trzeba, ale trudno się było powstrzymać.

I znowu zacytujemy wypowiedź reżysera Jana Laskowskiego, podobnie jak postąpiliśmy w wypadku twórcy filmu „Złoto”. Reżyser Laskowski zwierzył się w nieocenionym „Ekranie”: „Całość ma być skromna i nastrojowa. Żadnych ostrych śpiewów, dramatów i niespodziewanych kulminacji”. I dodał nieco później: „Zawsze pociągała mnie myśl, aby realizować filmy zaangażowane, o robotnikach i pracy, lecz nie szablonowe, dalekie od „produkcyjniaków”. Moim tematem zasadniczym jest „grupa ludzi w trudnych warunkach”.

Ba — żeby ta recepta wystarczyła na zrobienie znośnego filmu!

A więc — mamy „grupę ludzi”. Mamy i „trudne warunki” pracy na „wyspie tajemniczej”. Istotnie — nie znajdziemy tu „żadnych ostrych śpiewów, dramatów i niespodziewanych kulminacji”. Czym wypełniono film?

Wodą! Ludzie chodzą po niej bez końca. A ona chlupie, chlupie, chlupie...

Dynamikę akcji, działanie — zastąpiły słowa, słowa, słowa. Nie zabrakło, naturalnie, udrznień, jak owa karawana kajaków, mknąca przez wody jeziora z obsadą jazzowych muzyków i szalowych „babek”. Nagle — czy się coś w filmie zaczyna dzieć? Jedna „babka” umyka od kawalera,

szuruje przez szuwały, przez chlupiącą wodę...

Najpierw ta panienska długo wołała z oddali (jak w wierszu Tuwima — „błada panienska” i „ratunku wołała”). Potem zjawiała się, jak widmo Banka, przy ognisku traperów nie traperów i z wdzięcznością przyjęła ofiarowaną jej koszulę męską (ślubną!). A potem zadumała się, jak i oni patrzając w płomienie...

Zaczęło się (pardon: miało zacząć) dopiero w nocy. Kiedy podnieceni do ostateczności obecnością panienski i spragnieni najwidoczniej kobiet mężczyźni zaatakowali jej skromny szałas. Więc jednak — kulminacja? Nie — panienska tymczasem mądrze rozmawiała z czystym moralnie chłopcem. Dopiero następnego ranka pokazano panienskę w jeszcze trudniejszej sytuacji: przy próbie gwałtu na oczach pozostałych siedmiu (wyraźnie — siedmiu) mężczyzn.

Na szczęście — dla panienski naturalnie — znalazł się wśród nich szlachetny, bo nieszczęśliwy (a może nieszczęśliwy, bo szlachetny?) inteligent pracujący chwilowo w trzcinie. Ocalił panienskę — znowu wszystko się rozszło po kościach.

I już tylko pozostawało autorom przetransportować czystą dosłownie i w przenośni panienskę na ląd stały. Załoga wyspy, nagle (tu was z'apalem, panowie — nagle!) pogodzona ze sobą, z entuzjazmem powróciła do chlupania w wodzie.

Ale już nam nie pokazano, co było dalej z planowo niedramatycznymi bohaterami filmu. Ircnia losu natomiast sprawiła, że przy wyjściu z kina my z koleżkami zaczęliśmy chlupać po wodzie i żalowaliśmy, że nie mamy butów takich jak tamci, wysokich i gumowych.

A wsiadając z przemoczonymi nogami do autobusu, myśleliśmy z pewnym sentymentem o epoce „produkcyjniaków”. Zle czy dobrze, nie zawsze prawdziwie, ale coś się w nich przecieć działo.

Ale to były inne czasy, proszę państwa.

Tradycja i fala

„Nowa fala” w kinematografii Związku Radzieckiego... Termin niezbyt chętnie witany przez twórców radzieckich i może merytorycznie też nie bardzo słuszny?

Nowa — zgoda. Ale czemu tylko — fala? Fale, jak wiadomo, mało się różnią jedna od drugiej. Nadchodzą i mijają bez śladu. Są rezultatem, a nie przyczyną ruchów morza.

A tymczasem radzieccy twórcy filmowi, którzy stali się prekursorami bądź kontynuatorami „nowego” nie czekali biernie, aż porwie ich „prąd wody” i zanieśie nie wiadomo gdzie, lecz świadomie, celowo, konsekwentnie realizują postawione sobie i przez samych siebie — zadania. Ideowe, artystyczne, społeczne, warsztatowe.

I jeżeli fala, ta morska i ta z nieudanej przenośni, szybko i bez śladu przemija, to „nowe” w filmie radzieckim nabiera, dosłownie w naszych oczach, coraz większego rozmachu, coraz się szerzej rozlewa.

WIĘCEJ I LEPIEJ...

Jeszcze nie tak dawno mówiliśmy o filmach takich, jak „Lecą żurawie”, „Ballada o żołnierzu”, „Czyste niebo” — jako o czymś raczej wyjątkowym na tle całej produkcji danego roku. To były wtedy raczej samotne szczyty, raczej wyjątkowe pozycje mniej ciekawych sezonów. Obecnie — obserwujemy, bez wątplenia nie bez związku z ilościowym wzrostem filmu radzieckiego, jego rozkwit jakościowy. Ot, choćby rok 1962 przyniósł już dwie największe nagrody — Grand Prix — na międzynarodowych festiwalach filmowych: w Karłowych Warach („Dzieci dni jednego roku”) i w Wenecji („Dziecko wojny”).

Coraz liczniej wchodzi do radzieckiej kinematografii młodzi. I coraz więcej mają w niej do powiedzenia. Ale bardziej może charakterystycznym i niepowtarzalnym na tle filmu światowego zjawiskiem jest „druga młodość” wielu wybitnych twórców star-

szego, a nawet zgoła i dobrze starego — pokolenia. Ze wymienimy tu dla przykładu Kalatozowa („Lecą żurawie”), Romma („Dzieci dni jednego roku”), Gierasimowa („Ludzie i zwierzęta”), Rajzman („A jeżeli to miłość”).

TEGOROCZNY FFR

Te litery znaczą: Festiwal Filmów Radzieckich.

Są wielkie festiwale międzynarodowe. Każdy ma swe indywidualne oblicze. Ludzie oblatani w branży filmowej wiedzą już z góry, jaki film się nadaje, a jaki — nie nadaje na dany festiwal. To cała wiedza — i wcale nie licha! Niestety — bywają jeszcze u nas ludzie (inni!), którzy lekce sobie ważą doświadczenia tamtych i eksperymentują strzelając do ściana np. — drobnym śrutem. Może zdarzy się cud i słoń fkinie po tym koziołku? Ale i cuda są coraz rzadsze, i słońce bardziej uparte.

Są także festiwale mniejsze — nazwijmy je roboczo „wymiennymi”. Raz ja tobie pokażę swe najlepsze filmy, później — ty mnie — i interes (nie zawsze) gotowy.

Trajcyjny już FFR ma swe stałe miejsce w naszym roku filmowym — miesiąc listopad. W bieżącym pokazano parę wznowień i parę nowości. Wśród wznowień przeważały komedie, z dwoma popularnymi filmami Aleksandrowa: „Cyrk” i „Wołga, Wołga”.

Wśród nowości natomiast wysunął się bezapelacyjnie na miejsce czołowe wspomniany już film Romma „Dzieci dni jednego roku”. Wypisano już o nim morza... farby drukarskiej. Cokolwiek się jeszcze napisze, czytelnik powie: „Wiem, czytałem, powtarzacie się!”. Powiem więc tylko jedno: jest to film dla ludzi myślących i czujących.

Z innych premier wyróżnia się „Miłość Alcezy” młodszych reżysersów Tumanowa i Szczukina. Ładnie, świeżo, pomysłowo opowiedziana historia młodzieńczej miłości. Znacze? No to obejrzyjcie jeszcze jedną jej wersję!

Jerzy Kuryluk

Pierwszy lubelski

„sinematograf“

JERZY KURYLUK

PANI Madeleine Malthe-Méliès, wnuczka „twórcy widowiska kinowego”, z szacunkiem i sentymentem wspomina swego wielkiego dziadka. W 1961 r. minęła setna rocznica jego urodzin i p. Madeleine objęła świat z wystawą meliesowską i z odczytem; a że ten świat jest duży, więc dopiero niedawno zjechała do Polski, udając się z kolei, po nas — do Londynu.

Jej wspomnienia o człowieku, który poświęcił wszystkie swe siły i zdolności rozwojowi sztuki filmowej, są bardzo interesujące. Zawierają mnóstwo szczegółów dotyczących nie tylko samego Méliès'a, ale i początków kinematografii. To Georges Méliès wprowadził do swych filmików wiele pomysłów i tricków technicznych, które zachowały się do naszych czasów. On pierwszy zastosował w filmie kolor (sto kobiet ślepało nad pozytywową taśmą filmową kolorując ręcznie, klatka po klatce, cały film!). Cena meliesowskiego filmu? Sprzedawała wyłącznie kopie pozytywowe, po franku czterdziestu za metr (film barwny kosztował dwa razy drożej).

LUBLIN NIE POZOSTAWAŁ W TYLE

Na otwartej w stolicy, w sali b. pałacu Prymasowskiego, wystawie (ciekawostka pierwsza: w tejże sali w roku 1809 odbywały się seanse przywiezionej z zagranicy latarni magicznej) zaprezentowano wypożyczone

TEATR LUBELSKI

W NIEDZIELĘ, dnia 22-go stycznia 1899 roku.
POPOŁUDNIOWE PRZEDSTAWIENIE

Po cenach niższych. Początek o godz. 3-iej po- poł.

OSTATNIE PRZEDSTAWIENIE SŁYNNEGO „SINEMATOGRAFU” I MASZYNY KONCERTOWEJ

PROGRAM

1. Ostatnie sceny w pełnym trybie
2. Maszyna koncertowa i ekspozycja
3. Karmienie tygrysów
4. Maszyna koncertowa
5. Maszyna koncertowa

MASZYNA KONCERTOWA
NOWY PROGRAM.

POPYCHADŁO

Koncert w trzech aktach, opiera na filmach i muzyce, pr. Jana Zdzisława

Leony miejsc o połowę niższe.

przez uroczą Francuzkę cenne ekspozyty, świadczące, że Méliès był i utalentowanym malarzem. Nasze Centralne Archiwum Filmowe uzupełniło pokaz materiałami polskimi, przypominającymi początki kina w Polsce. Chodziło się, oglądało, czytało — i nagłe: Teatr Lubelski i „sinematograf”! Ciekawostka druga, warta reprodukcji i krótkiego opisu w „Kamieniu”.

Wyświetlanie tych króciutkich filmików przed spektaklem teatralnym miało być magnesem, przyciągającym publiczność, jak każda nowość i — sensacja z Paryża rodem.

Repertuar „słynnego sinematografu” w sali teatru lubelskiego był co dzień zmieniany, prezentując naszym antonom-kinomanom nader urozmaicony wybór. Wyliczmy tu kilka tytułów — dla przykładu i... dla śmiechu. Aktualności polityczne: „Artyleria powstańców na Kubie” i „Przyjazd prezydenta Francji For'a (sic) w Petersburgu” (prezydencką wizytę filmował we wrześniu 1897 r. właściciel zakładu fotograficznego w Warszawie, później — jeden z naszych pierwszych „oblakańców filmowych”, Bolesław Matuszewski). Tematyki sportowej i krajoznawczej reprezentują „Lyżwiarze na lodzie” i „Ulica w Paryżu”; batalistyczną — „Wysadzenie okrętu przez torpedowicę w powietrze”. Był kącik kulturalny: „Taniec małoruski”. Była i sensacja: „Karmienie tygrysów”. Spo-

ro miejsca zajmowały epizody treści obyczajowej, np. „W kąpielach morskich”, „Orszak weselny”, „Pocałunek” (motyw później jakże na ekranie nawiązywany!). Temat „pod publiczność”: „Śmiech i płacz dwójga dzieci”. Wreszcie — żywił humoru: „Dwóch pijanych” czy „Zagubione cygaro”. Większość tych filmików pochodziła, jak można się domyślać, z Paryża, z kolebki sztuki filmowej.

DWIE SENSACJE W 10 METRACH

Również humorystyczny charakter miał filmik (na naszym afiszu — poz. 2) pt. „Zaspany dorożkarz i wyprężenie konia”. I już nie ciekawostki, lecz najprawdziwsze sensacje! W tym filmie po raz pierwszy ukazał się na ekranie znakomity później aktor Kazimierz Junosza-Stępski. (Treść filmu: dorożkarz drzemie na kozle, nadechodzi podochocny „światowiec”, wypręga dla kawału konia, wstawia między dysze... osła. Dorożkarz po przebudzeniu jest przerażony tym „cudem”).

Druga sensacja: film realizował nie byle kto, bo Kazimierz Prószyński, pionier polskiej kinematografii, wynalazca aparatu do zdjęć własnego pomysłu, pn. pleograf. Mało dziś wiemy, niestety, o 10—20 metrowych filmikach Prószyńskiego...

A „maszyna koncertowa”? Zapewne prymitywne fonograf, wychrypujące popularne arie operowe i walce, z Marsylianką w finale koncertu.

Kłopoty z plotem którego nigdy nie było

(Dokończenie ze str. 5)

inicjować jakąś pożyteczną akcją społeczną, to znów nie. Do teatru chodzą tak samo rzadko, jak pozostali mieszkańcy Bialegostoku i także same częściej do kina. Są młodzi, więc bawią się gdzie mogą i nie każdego z nich musi zaraz interesować cybernetyka. Jedni z nich zadziwiają wręcz czytaniem, szerokim wachlarzem zainteresowań, inni godzinami porafią delectować się opowiadaniem o tym, jak to się było „zalanym w trupa”.

Czy to coś nowego pod słońcem? Chyba nie. Czy należy go zjeść się z czymś, co uważamy za niedobre, niesłuszne? Ależ oczywiście też nie. Prawdziwych kłopotów społecznych, wychowawczych, kulturalnych jest w naszym mieście, w ówczesnym oraz białostockich wyższych uczelniach tak wiele, że nie można sobie pozwalać na luksus wymyślenia nie istniejącego „murów” i „plotów”.

Z drugiej zaś strony trzeba gwoździć prawdziwie przyznać, że to całe rozwlanianie nie istniejącego muru przynosi czasami niespodziewane pozytywne rezultaty. Konkurencyjne (miał wspólnopracujących!) kluby studenckie zaczynają nawet realizować swoje pomysły, jak konkurs na wieczorek młodzieżowy a bezalkoholowy, kabarecik aktorskiej piosenki „Oseka”, ciekawy kabarecik klubu „Co nie co” itp. Może wreszcie przyniesie rezultaty gadanie, że zagranicą więcej wie na temat osiągnięć naukowych pracowników Białostockiej Akademii Medycznej, niż sami białostocczanie. Może tej zimy naukowcy i studenci szerzej trafią do białostockich zakładów pracy, a mieszkańcy miasta do Akademii Medycznej nie tylko w charakterze pacjentów do kliniki. Tylko broń Boże nie spodziewajmy się cudu, nie czekajmy, obywatele, na „Gołota”.

Leszek Kożusko

NIE TYLKO SPECJALIZACJA

(Dokończenie ze str. 11)

starczy wymienić profesora Adama Grucę, który wystawił 12 rzeźb. Okazuje się 20 czynni lekarze rzeźbi, piszą, rzeźbią i najchętniej malują. Malarstwo bowiem reprezentowane było najliczniej w wystawowym dziale plastyki. Nie brak tu było prac br. dzo udanych, jak oleje Patryka Parenta: „Don Quichotte”, „Le centurion”, „Peur List”, stojących na pograniczu malarstwa abstrakcyjnego i figuratywnego, nie brak precyzyjnych i wręcz słabych, tych ostatnich zresztą niewiele. Ważne jednak jest co innego. Obrazy lekarzy francuskich i włoskich (oni głównie reprezentują zranienia), nawet te zupełnie precyzyjne, wykazują na wysoką kulturę malarską ich twórców. Jako temat przeważa pejzaż. Stosunkowo mało było prac, które raziłyby amatorszczyzną i tępiały i nie starały się być niczym więcej niż ładnym widoczką do grzebienia czy poczekalni „para doktora”. Z drugiej strony przewaga pejzażu nie była tak wielka, by wyprzeć z wystawy obrazy o innej tematyce, często (władczące) o intelektualnych i zainteresowaniach lekarzy, o próbach szerszego i artystycznego ujmowania świata.

Prawie nie było prac tematycznie związanych z zawodem lekarza, nie było w wystawionych obrazach niczego, co by się dało określić mianem „obsesji lekarskiej”. Była natomiast ogromna różnorodność stylów — od realizmu, przez pozytywizm, przez próby impresjonistyczne do kubizmu i ujęć abstrakcyjnych.

Na te zagraniczne malarstwo polskich lekarzy, mimo retrospektywnego potraktowania, prezentowało się ubożej pod względem artystycznej rangi. Wyodrębniły się: „Ulizka” Teodora Brulł-Białynickiego, ciekawie ujęta kolorystycznie i stylizowane na prymityw „Miasteczko nr 16” i „Pajęczak górski” pedziła Mieczysława Sosnowskiego. Te braki rekompensuje większa ilość prac wystawionych w innych, poza malarstwem, dziedzinach plastyki w rzeźbie i grafice, które w zagranicznym dziale wystawy nie były reprezentowane. W rzeźbie wyróżniły się prace Tadeusza Ginki — świetne „Miski” wykonane w drzewie. Odznaczają się one wielką wyrazistością i pełnym dramatycznym naniecia lub wdzięku i humoru ujęciem („Szelm”). W grafice dostrzeżone były karykatury znanych i wybitnych profesorów medyków, rysowane przez twórcę „Masek”. Wystawa była cenna orbią ukazania środowiska lekarskiego jako środowiska twórczego. I to nowe spełnienie, odkrycie innego oblicza tej liczonej grupy zawodowej, jest największą jej zasługą.

Józef Krzyżanowski

nia konferencję naukową poświęconą twórczości tego pisarza.

W dniach 14—15 grudnia staraniem Miejskiej Komisji Porozumiewawczej Stronniców Politycznych, Prezydium MK FJN i FMRN w Lublinie odbył się Sejmik Kulturalny, na którym obecny był poseł na Sejm, wicemarszałek Jan Król Wende. Sejmik w drugim dniu obrad przyjął uchwałę wytyczającą kierunki działania na najbliższą przyszłość.

A. D.

Rzeszowskie inicjatywy naukowe

CZERWCOWY Sejmik Towarzystwa Naukowych i Kulturalnych miast Rzeszowa zorganizowany przez Towarzystwo Przyjaciół Nauki i Sztuki w ramach „Dni Rzeszowa”, o którym pisała już „Kamień”, wprowadza znaczące ożywienie w działalności naukowej i kulturalnej. Zaczyna już przybierać realne kształty podjęta przez TPNIS koordynacja działalności naukowej i wydawniczej środowiska naukowego w Rzeszowie.

Niedawno minęło pięć lat od chwili, gdy powołano przy Muzeum Okręgowym w Rzeszowie Ośrodek Archeologiczny. W Ośrodku działa obecnie 5 zawodowych archeologów (z Muzeum w Rzeszowie i Krośnie) pod kierunkiem naukowym prof. dr R. Jamki, kierownika Katedry Archeologii Polski UJ. Ożywienie pracy ośrodka przypadało na okres 1950—1957 w ramach badań nad początkami Państwa Polskiego. Oto kilka danych cyfrowych: w roku 1950 przeprowadzono badania na 22 obiektach archeologicznych, w roku 1951 na 25, w roku 1952 na 24. Poza tym badaniami zwiadowczymi i powierzchniowymi objęto ponad 300 miejscowości. Wynikiem badań wykopaliskowych było oświetlenie tylko w latach 1960—61 przez archeologów działających w ośrodku ponad 30 rozpraw i artykułów związanych z terenami województwa rzeszowskiego — w różnych czasopiśmie i wydawnictwach naukowych w kraju. Uzyskane materiały poszerzyły znacznie naszą wiedzę o epoce neolitu, brązu (szczególnie o kulturze lużyckiej), epoce żelaza (okres rzymski i wczesnośredniowieczny). Wyniki badań z okresu wczesnośredniowiecznego na terenie Przemysła i innych miejscowości można zaliczyć do sensacji naukowych. W najbliższych latach podjęta będzie bliższa współpraca z lubelskim środowiskiem archeologicznym, nad okresem średniowiecznym, szczególnie okresem V—IX wieku.

Towarzystwo Przyjaciół Nauki i Sztuki oraz Muzeum Okręgowe w Rzeszowie przygotowano publikację obrazująca ciekawe wyniki badań ośrodka archeologicznego o za rok 1962 i podsumowanie działalności w latach 1950—61.

ty, nauki na terenie województwa w okresie 1945—1960 r. Szereg artykułów i referatów badaczy obrazuje dotychczasowe osiągnięcia szkolnictwa i oświaty, muzealnictwa, towarzystw naukowych, archiwów, badań sztuki ludowej. Dobbęga także końca prace redakcyjne nad kolejnym III tomem „Rocznika Województwa Rzeszowskiego”. Znajdą się w nim prace prof. dr R. Jamki „Puszczę Sandomierską w okresie wpływów kultury prowincjonalno-rzymskiej”, prof. dr St. Baka „Stan i potrzeby humanistycznej problematyki naukowej na obszarze Puszczy Sandomierskiej”, doc. Fr. Kotuła „Chotowskie „zagłębie” przemysłowe”, doc. dr K. Arłamowski „Statut towarzystwa kłackich z roku 1485 z Łańcuta”, prof. M. Alkiewicza „40-lecie Związku Proletariatu Miast i Wsi na Przewodzień”, mgr inż. arch. J. Frazka „Studium o zepku przemysłowym”, mgr A. Kunysz „Najnowsze wyniki badań archeologicznych na terenie Przemysła”. Rocznik obejmie również bibliografię prac związanych z terenem województwa rzeszowskiego za ostatnie lata.

(K.)

LUBELSKA KRONIKA KULTURALNA

Po Wiedniu, Paryżu i Brukseli zawiąta do Polski wystawa fotografiki szwedzkiej. Prace siedmiu młodych Szwedów z „Lunde Akademiska Bild Klupp” zostały udostępnione do obejrzenia lubelskim w Dzielnicowym Domu Kultury na ZOR Zachód w dniach od 1 do 15 grudnia.

W dniu 3 grudnia odbyła się uroczysta inauguracja 10 roku nauczania na Wieczorowej Szkole Inżynierskiej. Inauguracja odbyła się po raz pierwszy we własnym gmachu uczelni — iadaptowanym do tego celu — dawnym pałacu Sobieskich.

Na Zamku Lubelskim została otwarta interesująca Wystawa grafiki Rolanda Grunberga, który od kilku miesięcy bawi w

Polsce jako stypendysta Ministerstwa Kultury i Sztuki.

W dniach 6—8 grudnia na Zamku w Lublinie odbyła się konferencja przedstawicieli czterech współpracujących województw: białostockiego, kieleckiego, rzeszowskiego i lubelskiego. Konferencja obradowała nad rolą młodej inteligencji w środowisku oraz zapotrzebowaniem kadry i absolwentów wyższych uczelni. W spotkaniu wzięli udział wiceministrowie: Eugenia Krassowska i Zygmunt Garztecki, przedstawiciele KC PZPR: Michał Makuch i Wiesław Krusze, dyr. Departamentu Pracy KOIB Ministerstwa Kultury i Sztuki, Czesław Kalużyński, przedstawiciele KC ZMS i ZG ZMW. (v. Wnioski z Konferencji na str. 2 i 11).

Obecna w Lublinie wiceminister E. Krassowska dokonała w dniu 7 XII owarca Wysławy prac plenerowych uczniów Lubelskiego Liceum Sztuk Plastycznych. W otwartym wystawie wzięli również udział rektor UMCS, prof. dr Grzegorz Seidler.

W dniu 8 grudnia została otwarta w gmachu Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki im. H. Łopacińskiego wystawa poświęcona życiu i twórczości Andrzeja Struga. Wystawę zwiędziła także żona pisarza Nelly Strugowa.

Dnia 9 grudnia w auli I Studium Nauczycielskiego w Lublinie odbyła się uroczystość nadania tej uczelni imienia Andrzeja Struga.

Zespół „Reduta 61” „Czarna róża” za inaugurował w dniu 11 grudnia sezon małej sceny Teatru im. J. Osterwy. Sztukę reżyserowała Jadwiga Janczewska, scenografię przygotowała Lillana Jankowska, opracowanie muzyczne Ryszarda Schreite-ra.

W dniu 11 bm. rozpoczęła swe obrady sesja popularno-naukowa poświęconej tradycjom KZMP, OM TUR i ZMW RP „Wici”. Sejm trwająca dwa dni zorganizowana została staraniem Katedry Historii Najnowszej UMCS, KW ZMS i Zarządu Wojewódzkiego ZMW.

W związku z 25 rocznicą śmierci Andrzeja Struga Katedra Historii Literatury Polskiej UMCS zorganizowała w dniu 11 grud-

CETERUM CENSEO

Nie mogłem uczestniczyć w ostatnim zjeździe delegatów ZLP i nie wiem, czy sprawa, o którą od wielu lat kruszę kopie, znalazła w obradach jakieś odzwierciedlenie. Pocieszającym objawem jest fakt, że w prasie coraz częściej porusza się sprawy językowe, niemniej jednak, póki wszystkie pisma kulturalne, a nawet i dzienniki nie rozpoczną systematycznej walki o nasze wspólne dobro, bogata puścizna pozostawiona nam przez wielkich pisarzy będzie wciąż zagrożona. Wszędzie, gdzie słowo drukowane codziennie lub w określonych odstępach czasu dociera do czytelnika, trzeba koniecznie niewielką, ale stałą rubrykę poświęcić obronie czystości języka.

ZYGMUNT MIKULSKI

List z trzema adresami

Po długiej i dwóch krótkich (jambicznej stopa nosi miano) wahań w sercu mym cichutkim list ten zaczynam. Również piano. A dąbym gardło i aortę, żeby się list zamienił w forte. Cóż, że tak powiem, twarda sztuka słowem uchwycić rzeczy sens. (Patrz, Norwid, który czekał wnuka.) Znaczenie łatwiejsza sztuka mięs, szczególnie — że i to nadmienię — z pomocą płynu (patrz „Natchnienie”).

I oto w sedno, w medias res ciąg słów przychylny celnie trafia. Konradzie, definicja jest! Poezja to ratafia. Dans les nuages zaś życia wszelkich księżyc to korek od butelki.

O, znam „blysk”, „jesień”, „każdy [kąt]”...

Tak, to liryka, nie migrena. Drogi! Wykarezwaleś błąd, że w naszym mieście brak Verlaine'a. Wybacz, że tutaj coś koślawo. Pióro wypada, biję brawo.

Nie bez pamięci czasu tego, gdy lumen artis niebyle kto wysyłał w cały kraj, bo Jego Magnificencja sam Reflektor. O paradoksie! Dziś do młodości straszne luczywo „Współczesność”.

Wspomnienia z lewa, rankor z prawa, Seylle, Charybdy — tonę prawie. Na świadka stawię tu Wacława. Masztem, opoką bądź, Wacławie! Non omnis moriar, gdy dżokejkę widzę Twą — czapek czarodziejek.

Nakrycie — przyznam — trafne jest. Ta adekwatność z celem, sens i doprawdy nie wiem, jakby — bez: dżgasz bo Pegaza elokwencji, by skrzydłem lotnym i kopytem nad każdym przemknął się limitem.

Najsluszniej, bo gdy sakwa pusta, lub groźna mniej, niż odrobina, nie rzy i Księżycowy mustang, zazdrości osłu i Rosynant. Kamena jedna, naga nimfa, rze znała w Chełmie ani tyńfa.

Czas przesyła w życia gramatyce... Tyle w nim czekań, burz, trochejów... Cóż, deklinacja pod księżycem i Kazimierz i Andrzej. A kiedyś ot, dla szurum-burum przedziemy się w plusquamfuturum.

Więc mego Eol i Boreasz listu niech zgodnie stopę niosą, by nie ustala, nie utknęła dając skutecznie choćby bosu. Tu kropka spada. Finis. Koniec. Reszta — w „Hamlecie” i w bilonie.

Niech to będzie artykuł na ten temat napisany przez specjalistę, niech będzie wykaz błędów popełnionych przez autora tej czy innej publikacji. Można to zrobić delikatnie, bez nazwiska sprawcy uchybić. A gdyby się ktoś domyślił, o kogo chodzi, trudno: amicus Plato, sed magis amica veritas. Sam nie obraziłbym się nigdy, gdyby mi ktoś wskazał błąd w mojej polszczyźnie, przeciwnie, poczuwałbym się względem niego do wdzięczności.

Ostatnio znowu doznałem przykrych sensacji, tym bardziej zaskakujących, że nazwisko i ranga pisarza autora nie zapowiadała niespodzianek tego rodzaju. Doszedłem zaledwie do połowy książki, a już wylowiłem (nie podaje stronie) pięciokrotnie „bez reszty” zamiast całkowicie, zupełnie, po trzy razy „w pierwszym rzędzie” i „co pod tym rozumiemy”, „trudniej jak”, „gorzej jak”, „w ślad za panią”, „nie różowej a smutnej” i „cienką kulturę”. Na tę cienkość teraz moda. Wprawdzie to wyraz czysto polski, nie tak, jak „subtelny”, ale z drugiej strony sprowadzony ze Wschodu. Dotychczas jakoś obywaliliśmy się bez tego wyrazu, którego w tym znaczeniu „Słownik języka polskiego” Doroszewskiego nie zawiera. A tymczasem wie'u znanych nawet pisarzy coraz częściej się nim posługują. Kto wie, może się i przyjmie. Mnie on razi.

Ale skoro tu padło nazwisko wybitnego językoznawcy, podzielić się z czytelnikami radością, że pojawiła się jego książka „O kulturę słowa”. Z pewnością stanie się ona przyjacielem niejednego z miłośników polszczyzny. „Przegląd Kulturalny” zapowiedział artykuł Marii Dąbrowskiej „O języku polskim”, który ukaże się w numerze świątecznym tego pisma. Czekam z niedzielną nadzieją: ceterum censeo linguam nostram esse purgandam.

Caius

NOTY

NIEZNANE LISTY BRZOZOWSKIEGO. Wspominał o nich Romuald Karas już przed trzema laty w prasie warszawskiej, a w zeszłym roku w 153 numerze „Kurierza Lubelskiego”. Ze są takie i prawnie należą do mieszkającej w Anglii p. Joanny Zaremby Tymienieckiej, która się nimi wcale nie interesuje. Ze los dokumentów jest zagrożony, bo mogą być wywiezione za granicę. Karas adresował swą notatkę do Instytutu Badań Literackich. Wtedy uzyskał tylko tyle, że listy te, stanowiące, jak słusznie pisze wracając do tej sprawy w numerze 48 „Życia Literackiego”, „dobro narodowe”, pozostały w kraju. Obecnie złożono je jako depozyt w bibliotece głównej KUL. Nikt do nich nie ma dostępu, bo „o ich przeczytaniu zdecydować może tylko Joanna Zaremba Tymieniecka”. A listy te mimo to były już przedtem czytane i, jak chodzą wieści, „mają one sta-

nowie nader ważki materiał dowodowy w sprawie zarzutów współpracy Brzozowskiego z carską ochroną”. Siłownie uważa Karas, że „po latach jest obowiązkiem przywrócić niewinności człowieka”. U artykułu tym zamieszczonym w krakowskim piśmie wspomina również „Nowa Kultura”. Sprawa stała się głośna i może nareszcie zasiora się do niej odpowiednie czynniki.

„RADOSĆ SPORU” odezwała w nrze 49 „Przeglądu Kulturalnego” Julian Przyboś z powodu wierszy Stanisława Grochowiaka i Ireneusza Iredyńskiego w „Nowej Kulturze” sprowokowanych „Odą do turpistów”. „Radosć” stanowi list otwarty skierowany nie tylko do wymienionych poetów, ale i do Mirona Białoszewskiego, Piotra Kuncewicza, Tadeusza Różewicza i in.

LEPIEJ POZNO NIŻ WCALE. O uwzględnieniu 130 rocznicy urodzin Dickensa upominał się niedawno W. N. w „Życiu Literackim”. „Nowa Kultura” zamieściła w nrze 49 artykuł Jerzego Ficowskiego „Dickens w Polsce” omawiający przekłady polskie utworów znakomitego pisarza od roku 1845, kiedy to w „Bibliotece najciekawszych i najlepszych romansów” ukazało się dwutomowe wydanie „Olivera Twist”.

„POLITYKA”, która zawsze się stara o atrakcyjny materiał, drukuje obecnie przekład opowieści A. Sołżenicyna „Jeden dzień Iwana Deniśowa”, zamieszczonej w listopadowym zeszycie „Nowego Miru”. Jest to opis jednego dnia w syberyjskim „lagrze”. Do sprawy tej może wrócimy jeszcze, gdy zostanie wydrukowana całość.

„Z POWODU braku napięcia w Kazimierz program zostanie opóźniony”. Tak ortograficznie uprzedzała widzów Telewizja Lubelska w dniu 9 grudnia o godz. 11. Należy jednak być sprawiedliwym: błąd ten zaraz dostrzeżono, „u” poprawiono na „ó”, ale tę poprawkę można było oglądać przez kilkanaście minut opóźnienia.

JESZCZE O TELEWIZJI. Tym razem sprawa poważniejsza. Teatr TV nadal w dniu 19 grudnia „Hedda Gabler” Ibsena w reżyserii Hanuszkiewicza. Chęci zaznajomienia szerokiego rzesz telewidzów z dramaturgią wielkiego Norwega należy tylko przykładać prozję o dalsze jego sztuki. Chodzi nam tu jednak o sprawę zasągnięcia: jak całkiem może sięgać uprawnień reżysera? Wydaje się, że nie wolno mu wypaczać zakończenia w taki sposób, w jaki to uczynił Hanuszkiewicz. Już dwa pistolety w kasecie, jako symboliczny ornament do tytułu dramatu na początku transmisji, zapowiadały poniekąd, co w sztuce nastąpi — dwa strzały. Jeden z nich był samobójczy, drugi też logicznie biorąc, nawet gdy się nie zna treści dramatu, nie mógł być strzałem w powietrze. Według zamierzeń autora — wystarczy zajrzeć do książki — był również samobójczy. Hedda Gabler, pośrednia sprawczyni śmierci Löwberga, odbierając sobie życie w pewnym sensie rehabilituje się: jest to jakby ekwipacja za jej egoizm, próżność, zwyrodniałość szlonoową i okrucieństwo. U Hanuszkiewicza w finale Hedda Gabler — jak u Ibsena — gra na fortepianie, po czym instrument milknie i rozlega się strzał. Zamiast krzyku jej męża: „Strzeliła do siebie! Strzeliła sobie w skroń!” i słów Bracka: „Ależ na litosc boska, tego się przecież nie robi!” — Hedda po tym strzale (chyba po śmierci?) znowu gra na fortepianie. A więc strzeliła w powietrze (przez perwersyjną brawurę czy chęć przestraszenia męża?) i zło triumfuje... Co by na to powiedział Ibsen?

-kaj-

ANNA TATARKIEWICZ

Z cyklu „najkrócej”

POSZUKIWANIE

Szuka się stylu, znajduje maniery.

ELITARNOSC

Bukiet wiązany z kwiatów bez łądzy.

NADZIEJA

Spełniona — zawód. Niespełniona — gorycz. Utracona — rozpacz.

WIEDZA

Wiedza — co wiemy. Mądrość — to, czego nie wiemy.

MILCZENIE

Im bliżej prawdy, tym bliżej milczenia.

NAPRAWDĘ

Naprawdę zawsze jest inaczej nie tak — nie tak — na prawdę zawsze słów za wiele i słów brak.

KSIĄŻKI NADESLANE

przez Wydawnictwo Artystyczne i Filmowe:

Igor Iłjiński — Pamiętnik Aktora, przełożył Seweryn Pollak, Warszawa, 1962. Władysław Boguski — Aktorzy warszawscy — szkice krytyczne, Warszawa 1962.

przez PIW

Bolesław Prus — Kroniki, tom XII, Warszawa, 1962.

Włodzimierz Solouchin — Kropla rosy, przełożyła Irena Piotrowska, Warszawa, 1962, wyd. pierwsze.

Miron Krzyżof Radziwiłł „Sierotka” — Podróż do Ziemi Świętej, Syryj i Egiptu, przełożył Jerzy Kukulski, Warszawa, 1962, wyd. I.

Włodzimierz Tiendriakow — Sąd, przełożyła Krystyna Latonowa, Warszawa, 1962.

Mikołaj Demientiew — W dalekiej przystani, przełożył Tadeusz Chrościelewski, Warszawa, 1962, wydanie pierwsze.

Stanisław Czernik — Stare złoto (z polskiej pieśni ludowej), Warszawa 1962, wydanie pierwsze.

Julian Kawalec — Ziemi przypisany, Warszawa, 1962, wydanie pierwsze.

Annalot Kleszczenko — Bezdroża kończą się wiosną, przełożyła Zofia Korczak-Zawadzka, Warszawa, 1962, wydanie pierwsze.

Stanisław Arct — Okruczy wspomnień, Warszawa, 1962.



R U M A K
Fot. Jacek Jedliński (Jędrzejów kielecki)

Dwutygodnik społeczno-kulturalny „Kamena” * Redaguje Kolegium: Waldemar Babinić, Maria Bechcyc-Rudnicka (redaktor naczelny), Konrad Bielski, Aleksander Gabrusiewicz, Kazimierz Andrzej Jaworski (dział poetycki), Jerzy Peñiarowicz (sekretarz Kolegium). * Wydawca: Odrzański Związek Literatów Polskich * Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 1c * Telefon 36-45 * Redakcja rękopisów nie odsyła * Warunki prenumeraty: kwart. zł 12, półrocznie zł 24, rocznie zł 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu” zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu”. Prenumerata przyjmowana jest od 16 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonywana się przedpłaty. Prenumerata za granicę: kwartalnie zł 16,80; półrocznie zł 36,40; rocznie zł 72,80. Zamówienia i wpłaty przyjmuje PKWZ „Ruch”, Warszawa, ul. Wilcza 46. Nr konta PKO 1-6-100024 oraz „Ruch” Lublin, nr konta PKO Lublin 2-6-544. Lubelska Drukarnia Prasowa — Zam. 5004. 12.XII.62. D-3